LUBLIN czas. 2552/1979/23

W ankiecie „Kameny" wypowiada się prof. dr Władysław Tatarkiewicz str. 3

Człowiek rodzi człowiek się rodzi Bronisław Kowalski str. 11

kamena

LUBLIN 11 XI 1979 NR 23 (691) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Nosiłam piękną gwiazdę

Tadeusz Jasiński

ZE SZPITALA akurat wyszłam. Po nocce byłam. Zmęczona bardzo, ale wesoło mi było, bo czerwonoarmiści z mojej sali przychodzili do siebie. Ktoś umarł tej nocy, ale ilu rannych uratowanych? Tylu znowu przy życiu...

Miałam szesnaście lat wtenczas, kiedy nakazano nam wyjechać z Rogóżna. Ojca nie było, tylko z matką, bratem i siostrami ruszyliśmy w drogę. Wzięli go carscy do aresztu w Białej Podlasce karą śmierci grozili, za dezertera go mieli. Oni myśleli, że się ukrywa, a to nie była prawda. On nie wiedział, że ma iść na wojenną rzeź. Odwozili nawet poborowych i pytał: może i mnie weźmiecie? — Za stary jesteście, powiedzieli oficerowie, wasz rocznik już minął. Z aresztu w końcu go wypuścili, wyjaśniło się wszystko, no i astmę miał, a my już byli daleko na Ukrainie. Jechaliśmy tam furmankami. Nie powiem, te ruskie uprzejme byli — dali mieszkanie, życie dawali. Pierwsza wieś nazywała się Klinowo, druga Złoczew. Ojciec do nas dojechał. Dawniej w Różance pod Włodawą był przez czternaście lat gajowym. Mama gospodarna była. Za to kupili morgi w Rogóżnie, niedaleko Łęcznej. A tam, tam w tej wsi i potem w Charkowie„ wydawało mu się, że jest nikim. Ojciec szewcował, buty umiał robić piękne, ale najczęściej narządzał zepsute. Taki był czas. Za to ludzie coś do jedzenia przynosili, bo takiej chciał zapłaty. Ja też pracowałam, o, takie, ło, dorywczo. Przy burakach u chłopów, przy kartoflach, albo żniwach. Potem już byliśmy w Charkowie, a podrosłam, miałam już dziewiętnaście i przeszedł październik tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, po naszemu listopad. Widziałam to wszystko, ja widziałam, jak to się przewalało.

Tylu zostało przy życiu, to szczęśliwa w tej godzinie porannej byłam, że moje niespanie, że

Dokończenie na str. 6

Olga Pejta Fot. Jacek Mirosław

Jerzy Wilmański

FILM DOKUMENTALNY - ROSJA 1917

Mundurów biel, paradny szyk i połysk akselbantów
Jak prężą się w szeregu i jaki bije blask
perfumowanej roty wykwintnych adiutantów.

A Rosja dygoce z zimna w wystygłych murach miast
A Rosja omdlewa z głodu w wystygłych murach miast

Lecz jeszcze gra muzyka
dla panów oficerów;
wirują zwiewne damy.
Lecz jeszcze gra muzyka
beztrosko gra walczyka

A głodna Rosja patrzy szarym, zmęczonym wzrokiem
Staruszka Rosja — zziębnięta na gruzach domu moknie
Wsie w gorączce, miasta w malignie.
Kto podniesie pięść — kto krzyknie?

Lecz tu jeszcze parady, panie w sukniach białych
szamerunki mundurów, bezrozumna gala.
Brzęk orderów, ordynans obcasami stuka
— gdy się nad Rosją zwolna znicz gniewu zapala

Kałuże szklą się pierwszym kruchym mrozem
i szklą się oczy dzieci porażone głodem
i wiatr jesienny niesie nadchodzącą grozę
wiatr październikowy niesie czerwoną pogodę.

U Kowalskich w nowym mieszkaniu

Maciej Podgórski

KOWALSCY przeszło rok temu dostali nowe mieszkanie w nowym osiedlu i chociaż postanowiłem ostatnio nie pić, to musiałem się z Kowalskimi napić, żeby porozmawiać, jak się żyje w nowym mieszkaniu i w ogóle, a takiej sprawy jak rozmowa o życiu „biez wodki nie rozbierjosz".

Wypiliśmy na początek — ja z Kowalskim czystą, Kowalska wino — na zdrowie nowego mieszkania, żeby się nie rozeschło, i zostałem zobowiązany do opisania tej historii dokładnie i po kolei, bo to jest poważna historia życiowa.

Kowalski pochodzi z małego miasteczka, gdzie najważniejszą rozrywką były spacery wokół rynku, czyli „kręcenie kierata". Ojciec kolejarz, matka przy ojcu. Domek kilkanaście lat stawiany, ogródek. Kowalska także z rodziny kolejarskiej, z jeszcze mniejszego miasteczka.

Kowalscy równolegle wyjechali ze swoich miasteczek na studia humanistyczne, w czasie których poznali się, zakochali w sobie; które ukończyli, pobrali się, a do swoich miasteczek nie wrócili.

Ona została nauczycielką, on urzędnikiem państwowym w poważnej firmie. Ta firma poparła starania Kowalskich o mieszkanie, tak że już po dwu latach bezdomnego, stancyjnego mał-

Dokończenie na str. 10

Refleksje przy czytaniu Wytycznych na VIII Zjazd PZPR

ODBLOKOWAĆ HAMULCE

PRZED kolejnym VIII Zjazdem PZPR Komitet Centralny Partii poddaje pod ogólnonarodową dyskusję Wytyczne — kierunek naszego wspólnego działania w nadchodzących latach. Ale nie tylko kierunek: Wytyczne szczerze bilansują przebytą dotąd drogę, wskazując zarówno na pozytywy jak i negatywy, na trudności, które pokonaliśmy i na ujemne zjawiska, których do końca przezwyciężyć nam się jeszcze nie udało.

Osiągnięcia naszej gospodarki są bezsporne, ale nie można i nie trzeba ukrywać faktu, że są gałęzie, które wybiegły do przodu, znajdując się nie tylko w czołówce europejskiej, ale i w światowej, z drugiej jednak strony inne pozostały zbytnio w tyle, hamując ogólny rozwój. *Nie możemy* — pisze Jan Główczyk w „Życiu Gospodarczym" (nr 44) — *sobie obecnie pozwolić na wyrównywanie tego tylko w drodze dodawania nowych środków, zwłaszcza inwestycyjnych. Te środki musimy z maksymalną rozwagą i — powiedziałbym — bezwzględnością skoncentrować na programach żywnościowym i mieszkaniowym, na energetyce i transporcie. Tu bowiem trzeba odblokować hamulce, które utrudniają ruch całości. Od gałęzi zaś bardziej sowicie wyposażonych zasadne jest i sprawiedliwe oczekiwać, że przez produkcję dla kraju i na eksport szybciej zwrócą środki, na które złożyła się wspólnie praca wszystkich.*

PROBLEM MIESZKANIOWY I ODBLOKOWANIE HAMULCÓW. Trochę dziwnie to brzmi, bo przecież w latach siedemdziesiątych budujemy 2,7 miliona nowych mieszkań, o cały milion (!) więcej niż w poprzednim dziesięcioleciu. Zwiększeniu uległo budownictwo indywidualne: w latach 1970—1980 powstaje ponad pół miliona domów jednorodzinnych. Pod koniec 1980 roku co czwarty obywatel będzie mieszkał w M-2 czy M-6, które zostało wzniesione w ostatnim dziesięcioleciu! Niestety, wszystko to mało w społeczności młodej, kiedy tak często rozbrzmiewa marsz Mendelssohna... I kiedy w ciągu jednej tylko dekady ludność miejska rośnie o 4 miliony!

Idźmy dalej: ENERGETYKA I ODBLOKOWANIE HAMULCÓW. W omawianym dziesięcioleciu moc elektrowni zwiększyła się z 14 do 26 tysięcy MW, a produkcja energii elektrycznej wzrosła z 65 mld kWh do 127 mld kWh. Nie są to liczby małe, ale w dziesięcioleciu powstało 450 nowych zakładów przemysłu kluczowego. Co innego zresztą moc zainstalowana w elektrowniach, a co innego moc dyspozycyjna, to jest praktycznie wykorzystywana w szczycie. Są niekiedy takie dni, gdy — niezależnie od obiektów energetycznych, przekazywanych do planowych remontów — awarie unieruchamiają po 2—2,5 tys. MW mocy.

Kiedy na posiedzeniu Sejmu debatowano nad tym problemem, posłowie wskazywali na wiele nieprawidłowości. Polska w przeliczeniu na jednostkę powstającego dochodu narodowego zużywa dwukrotnie więcej energii niż Wielka Brytania, prawie trzykrotnie więcej niż Francja. W nowych budynkach z uwagi na ich niewłaściwą izolację straty cieplne są o 20—30 proc. większe niż w starych. W indywidualnych gospodarstwach chłopskich stosuje się na ogół silniki trzykilowatowe, podczas gdy w zasadzie wystarczyłyby półtorakilowatowe. Te ostatnie są jednak w handlu trudno dostępne. Producenci silników po prostu zmuszają indywidualnych rolników do marnowania energii elektrycznej, a jednocześnie narażają ich na ponoszenie większych kosztów. Problemem samym w sobie jest podniesienie sprawności urządzeń energetycznych i likwidacja marnotrawstwa na drodze elektrownia-odbiorca: chodzi o modernizację linii przesyłowych.

Kolejna sprawa: TRANSPORT I ODBLOKOWANIE HAMULCÓW. Wytyczne wskazują że w kolejnictwie najważniejszymi przedsięwzięciami były: budowa Centralnej Magistrali Kolejowej, budowa Linii Hutniczo-Siarkowej (tej ostatniej wiernie towarzyszymy w „Kamenie"), elektryfikacja i modernizacja linii, budowa różnych obiektów i urządzeń kolejowych. Trakcja elektryczna i spalinowa zapewni w 1980 roku przewóz ponad 90 proc. ładunków, wobec 60 proc. w 1970 roku. Z kolei transport samochodowy będzie miał w 1980 roku 580—600 tysięcy ciężarówek w porównaniu z 270 tysiącami w 1970 roku. Powstała droga szybkiego ruchu: Warszawa—Katowice, rozpoczęła się budowa dróg: Warszawa—Poznań oraz Wrocław—Katowice—Kraków. Flota handlowa powiększyła się prawie dwukrotnie, a jej przewozy wzrosły trzykrotnie. W portach podwoiły się przeładunki, m. in. dzięki zbudowaniu Portu Północnego.

A jednak mimo tych osiągnięć stale narzekamy na transport. Pasażer PKP ma wiele powodów do utyskiwań na temat punktualności pociągów. Kolej stale alarmuje, że wyładowywanie towarów następuje zbyt wolno, producenci zaś często bezskutecznie oczekują nadejścia surowców, bądź potrzebnych dostaw kooperacyjnych. Po drogach polskich krąży znacznie więcej ciężarówek, ale ile ich stoi codziennie z powodu braku części zamiennych, ogumienia czy po prostu złej organizacji pracy?

I to są właśnie te hamulce, które należałoby jak najszybciej odblokować. Wytyczne w punkcie 52 mówią o tym jednoznacznie: *Ważnym zadaniem najbliższego pięciolecia powinno być zmniejszenie rozpiętości pomiędzy wzrostem potrzeb przewozowych gospodarki a możliwościami transportu. Wymaga to: dostosowania transportu do nowych potrzeb wynikających z przyspieszonego rozwoju poszczególnych regionów kraju, a także przezwyciężenia historycznych opóźnień w rozwoju sieci transportowej. Służyć temu powinna dalsza modernizacja i rozbudowa transportu oraz koncentracja wysiłków na tych dziedzinach, które mogą szybko zwiększyć zdolności przewozowe kolei; lepsze wykorzystanie możliwości rozwoju innych współdziałających z koleją rodzajów transportu oraz zwiększenie sprawności całego systemu komunikacyjnego kraju...*

Jeśli zaś chodzi o transport samochodowy. Wytyczne głoszą m. in.: *Konieczne jest zwiększenie gotowości technicznej taboru poprzez poprawę zaopatrzenia w części zamienne i ogumienie, usprawnienie remontów, coraz szersze stosowanie samochodów z przyczepami, organizowanie ciągłej pracy magazynów w celu skrócenia czasu oczekiwania na za — i wyładunek...*

I wreszcie: PROGRAM ŻYWNOŚCIOWY I ODBLOKOWANIE HAMULCÓW. Wytyczne przypominają, że mimo różnych trudności i napięć w skali dziesięciolecia nastąpił wydatny wzrost konsumpcji żywności. W przeliczeniu na jednego mieszkańca spożycie mięsa i jego przetworów wzrosło z 53 kg w 1970 r. do 71—72 w 1980, ryb i przetworów z 6,3 kg do 7,8 kg tłuszczów — z 20,8 kg do 25,6 kg (w tym masła z 6 kg do 8,7 kg, jaj kurzych — ze 186 sztuk do 225 sztuk, warzyw i przetworów z 92 kg do 110—115 kg, a napojów bezalkoholowych — z 13,4 l do 35,1 l.

Realizacja programu wyżywienia narodu pochłania zawrotne sumy. Wydatki inwestycyjne na kompleks żywnościowy przekraczają 1,2 biliona złotych, czyli są prawie trzykrotnie wyższe niż w poprzednim dziesięcioleciu. Główną pozycją są tu inwestycje w rolnictwie wynoszące w dekadzie 858 mld złotych. Rolnictwo ma obecnie 530 tys. ciągników (przed dziesięcioma laty — 220 tys.). Ponad trzykrotnie wzrosła liczba kombajnów.

Niestety, trudniejsze w bieżącym pięcioleciu warunki klimatyczne nie pozwoliły osiągnąć założonych zadań w produkcji rolnej. Wytyczne głoszą: *Gdy w pierwszym pięcioleciu obecnej dekady roczne zbiory wyniosły średnio 20,9 mln ton zbóż, 47,1 mln ton ziemniaków, 13,8 mln ton buraków cukrowych, 573 tys. ton oleistych, 14,7 mln ton siana łąkowego, to w latach 1976—1979 wynosiły one średniorocznie: 19,8 mln ton zbóż, 46,5 mln ton ziemniaków, ok. 15,1 mln ton buraków cukrowych, 672 tys. ton oleistych, 14,6 mln ton siana łąkowego. Ten brak istotniejszego postępu wywołał konieczność dużego importu pasz i zbóż.*

Co znaczy import — wiemy. A przecież ceny światowe nie stoją w miejscu. Cena zboża wzrosła dwukrotnie. Jak to obciąża nasz bilans płatniczy? Obecnie staliśmy się w poważnej mierze importerem surowców rolniczych. Gdy w latach 1971—1975 saldo obrotów tymi towarami było dodatnie i wynosiło 800 mln zł dewizowych, obecnie jest ono ujemne i osiągnęło już 6 mld zł dewizowych. Gdy w pierwszym pięcioleciu dekady import netto zbóż i pasz wynosił ok. 4,1 mln ton rocznie, to w obecnym pięcioleciu import ten wynosi dotychczas 7,8 mln ton rocznie, to jest odpowiednio 20 proc. i 40 proc. średniorocznej wielkości zbiorów zbóż w kraju.

Wytyczne wskazują na sposoby uzdrowienia naszej gospodarki rolnej. Podkreślają, że żywność i surowce rolne mają we współczesnym świecie znaczenie strategiczne. W związku z tym niezbędne jest zintensyfikowanie działań w kierunku osiągania pod tym względem samowystarczalności kraju. Należy dążyć do tego, aby do 1985 roku zrównoważyć saldo importu i eksportu produktów żywnościowych i pasz. W jaki sposób — o tym dokładnie mówi 50 punkt Wytycznych.

* * *

Zwróciliśmy uwagę na problem mieszkaniowy, energetykę, transport i żywność, są to bowiem te dziedziny naszej gospodarki, które utrudniają rozwój całości. Tu hamulce trzeba odblokować jak najszybciej i jak najsprawniej.

Dysproporcji jest zresztą więcej. Chociażby ta, jaka istnieje między wzrostem siły nabywczej ludności a niepełną ofertą rynkową.

Powołajmy się chociażby na przykład motoryzacji. W ciągu dekady liczba posiadaczy prywatnych samochodów wzrosła w Polsce 3,8 razy, a w naszym województwie nawet 4,3 raza. Skok ogromny. A przecież amatorów czterech kółek wciąż przybywa, popyt znacznie wyprzedza podaż. W 1970 roku jeden samochód przypadał na 71 mieszkańców, dziś liczba ta się odwróciła: jeden przypada na siedemnastu.

To samo jest z telewizorami (1970 rok — 48 telewizorów na 100 gospodarstw domowych, 1980 r. — 87, w tym 9 kolorowych), magnetofonami (odpowiednie liczby: 4 i 42), pralkami (64 i 80, w tym 13 automatycznych), lodówkami (24 i 87) itd. itp. A przecież wymagania rosną. Poszukiwane są np. radia z magnetofonami, pralki, ale automatyczne, telewizory, ale przenośne lub kolorowe itd. itp...

Zaraz po wojnie szczytem marzenia było radio i rower. Potem — telewizor czarno-biały, pralka i motocykl. Potrzeby się wzmagały: przyszła kolej na lodówkę, magnetofon. Samochody zaczęły wypierać motocykle...

Lektura Wytycznych u każdego z nas musi budzić osobiste refleksje. Otwieramy łamy „Kameny": czekamy na listy szczere, bezpośrednie, na propozycje i uwagi. Dzień dzisiejszy i przyszłość kraju to sprawy nas wszystkich.

MAJ

Pani Marii Kuncewiczowej z okazji Jej 80-lecia serdeczne życzenia zdrowia i pełni sił twórczych dla dobra literatury polskiej

składa

Kolegium i zespół redakcyjny „Kameny"

SZPALTA O SPORCIE

ŁÓDZKI Widzew w ostatniej kolejce spotkań ligowych ledwo ledwo zremisował z Górnikiem Zabrze (na wyjeździe) 0:0.

Bogda Madej pisująca o sporcie na łamach łódzkich „Odgłosów", mająca niekiedy własne, oryginalne zdanie, przeprowadziła rozmowę z prezesem RTS Widzew, Ludwikiem Sobolewskim.

„Co się stało z drużyną piłkarską Widzewa? — jest to pytanie, które zadaje sobie wielu kibiców. Wicemistrz Polski znajduje się nagle na 13 pozycji w ligowej tabeli i na dodatek gra coraz słabiej. Odpada z rozgrywek w Pucharze Polski. Dlaczego tak się dzieje?" — przedstawicielka „Odgłosów" jest najwyraźniej zaniepokojona.

Ludwik Sobolewski stwierdza, że powody są bardzo złożone. Odeszli z drużyny Janas, Chodakowski i Kostrzewiński, którzy stanowili o sile obrony Widzewa. Odszedł też Pyrdoł, którego grze zawdzięczają rozwój swoich możliwości Boniek i Błachno. Konwenicki już mniej myśli o grze w drużynie. Nad jakimś urządzeniem zastanawiają się Burzyński, Grębosz i Możejko. A z tych, którzy do drużyny w ostatnim czasie doszlusowali, liczy się tylko Pięta. Poza tym zawodników dręczą kontuzje.

„Proszę popatrzeć — mówi Sobolewski — na zagraniczne zespoły. Tam, jak nie gra jeden dobry, wysokiej klasy zawodnik, to trener zastępuje go innym, wcale nie gorszym. U nas w drużynach pierwszej ligi w zasadzie jest po sześciu, siedmiu dobrych zawodników, reszta gra w pierwszoligowym zespole, bo nie ma kto grać. Taka jest prawda".

Na pytanie: „A gdzie młodzi?" Sobolewski przyznaje z rozbrajającą szczerością: „Po prostu mało szkolimy młodych. Tak się utarło, że do drużyn pierwszej ligi przychodzą na ogół wybijający się zawodnicy z drugiej ligi, a do drugiej z niższych. Teraz ten ruch został zatrzymany. Co prawda nie dla wszystkich. [...] My i kibice doskonale wiedzą, które drużyny pierwszoligowe uzupełniają swoje składy, zręcznie omijając przepis o nieprzechodzeniu zawodników z drugiej ligi do pierwszej."

Na dodatek są wielkie różnice między trenerami pierwszoligowymi, a trenerami uczącymi młodzież. Dopóki to się nie zmieni, dopóty będziemy mieli kłopoty z brakiem dobrze wyszkolonej młodzieży.

— Czy to w jakiś sposób przyczynia się do rozwiązania spraw piłki nożnej?

— Karta niewątpliwie przyczyniła się do unormowania wielu spraw, ale jak każdy akt prawny ma też pewne luki.

— W komentarzach na temat tej Karty nie wyszło się poza ogólniki. Jakie są jej istotne postanowienia?

— Istota Karty jest unormowanie spraw piłkarza, spraw związanych z jego płacą miesięczną, nagrodami za rozgrywane mecze ligowe i międzynarodowe oraz sprecyzowanie czasu gry w danym zespole. [...]

— Do tej pory piłkarze mieli i po trzy etaty. [...] Jak w tej chwili wyglądają zarobki piłkarza?

— Jeżeli przyjmiemy, że klub, w którym gra piłkarz, zdobywa minimum 16 punktów, to całość miesięcznych zarobków piłkarza wynosi około 16 tysięcy złotych.

— Czy przedtem piłkarze otrzymywali więcej pieniędzy?

— Z tego rozeznania, jakie mam, otrzymywali trochę więcej. Na przykład, według dawnego przepisu, piłkarze ligowi otrzymywali pieniądze za mecze towarzyskie, za które teraz się nie płaci.

W dalszej części rozmowy Sobolewski wraca do tych 16 tysięcy, które piłkarz pierwszoligowej drużyny zarabia miesięcznie.

„Za to — mówi — trzeba utrzymać rodzinę, trzeba zapłacić mieszkanie a to jest przeważnie mieszkanie własnościowe (? — znak zapytania GOLa), piłkarz musi się inaczej odżywiać, bo musi mieć zdrowie i kondycję. Piłkarz musi się wyrzec wszystkich przyjemności (? — znak zapytania GOLa, znającego pewne „przyjemności" zawodników), które mają młodzi ludzie. Przez 10 lat narażony jest na kontuzje, na mikrowstrząsy mózgu, bo musi odbijać piłkę głową. [...] W wieku 32 lat startuje do normalnego życia i jest to niejednokrotnie start utrudniony. Każdy chce sobie na ten okres coś odłożyć i trudno się dziwić. Gdzie są więc te wielkie pieniądze?"

Rzeczywiście... Piłkarzom należy tylko współczuć!

GOL(ec)

DROGOWSKAZY

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na temat zasad, którymi kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależało nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju auto-komentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodziło nam o otrzymanie „przepisu na sukces", lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiliśmy o krótkie wypowiedzi, by tym wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania.

Na naszą ankietę zechciał odpowiedzieć m.in. wybitny pracownik nauki, historyk filozofii i estetyki, profesor doktor Władysław Tatarkiewicz, którego wypowiedzią zaczynamy druk tych wyznań, wprawdzie skrótowo pomyślanych, ale ważnych dla czytelników interesujących się życiem kultury i nauki w naszym kraju.

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

Jestem bardzo stary: urodziłem się i chodziłem do szkół jeszcze w XIX w.

Pierwsza moja książka była napisana w 1908 r., a wydano ją w obcym języku w 1910 r. Na polski została przełożona i wydana dopiero w roku bieżącym.

Nadal jeszcze piszę: ukazuje się moja książka — Moja autobiografia łącznie z autobiografią mej Żony.

Jest mi przyjemnie (jest to chyba niewinna słabość), że książki moje ukazują się w bardzo wysokich nakładach i w przekładach na wiele języków obcych.

Zajmowałem się w ciągu życia głównie dwiema dziedzinami: historią filozofii a w szczególności estetyki oraz historią architektury, w szczególności polskiej z XVII i XVIII wieku: ta dwoistość nie przeszkadzała mi, był to niezły płodozmian.

Cechą mych prac była wielorakość, przerzucałem się z tematu na temat, jednakże była w tym pewna ciągłość i metoda.

Cechą był również pluralizm: podobne zagadnienia można rozmaicie rozwiązywać nie mijając się z prawdą.

Aspiracją moją w myśleniu i pisaniu była zawsze jasność i możliwa prostota. Zdaje mi się, że dało to dość dobry wynik.

Mam uczucie, że wykorzystałem to, co mi dała natura i pomyślne na ogół losy.

Wyrazów uznania i nagród otrzymałem więcej niż się mogłem spodziewać.

POEZJA RADZIECKA

Wasyl Żukowicz (BIAŁORUŚ)

* * *

Spotykamy się rzadziej niż ongiś,
choć te same są gwiazdy nad nami.
Proszę, gdy sobie o mnie przypomnisz,
w myślach ze mną rozmawiaj czasami.

Mów. Nie straszne nam sine dale.
Zawsze — w szczęściu lub w wielkiej potrzebie —
złapię tę nieuchwytną falę —
i usłyszę ciebie.

* * *

Skowronek wiosną, żuraw na jesieni...
O tym, czym żyją, śpiewają z natchnieniem:
Jeden wesoły, dźwięczny, a ten drugi —
Zanosi się jesiennym krzykiem długim.

Jeden z nich wita, błogosławi
Twe kroki młode, kroki żwawe,
Przypomni drugi ci czasami,
Że wiecznie nic nie będzie trwało

Spadniesz i ty pod wiatru piosnkę,
Jak spada żółty liść klonowy.
A wkoło będzie pięknieć nowy,
Kolejny dzień zrodzony wiosną.

Na równi duszę nam przejmuje
Skowronka śpiew i krzyk żurawia...
Radośnie w niebie kwiecień buja,
Statecznie wrzesień kroki stawia.

Niesprawiedliwa, śmierci, często bywasz
(nie roszczę wcale prawo do odkrycia):
przedwcześnie z życia ludzi tych wyrywasz,
co nie o siebie dbali całe życie.

A jednak chwalę ciebie, stara, za to,
że idziesz ty po ziemi nieprzekupna,
nie omijając łotra ani kata,
nawet z bogacza nie chcesz wziąć okupu.

Przekład Antoniny Mioduchowskiej

Muszni Mikaja (AZERBEJDŻAN)

SŁOWA

Słowa rozbijają największy mur,
Lecz także największych wrogów
Na wąziutkiej ścieżce pośród gór
Pogodzić ze sobą mogą.

Słowami można pokonać dal,
Słowami — podkowy zginać!
Słowami można wytapiać stal,
Słowami — wzgórza przesuwać.

Słowa — w nich prawda głębi duszy,
A w walce — groźne jest słowo;
Wierząc w ciebie jeszcze raz proszę:
Bądź dla mej strzelby ołowiem.

Platon Bebia (ABCHAZJA)

BÓG OGNIA

U Abchazów w samym środku domu
Jest palenisko: patrz w ogień i strzeż!
Ale klątwa — równa błyskom gromu:
„Niechaj ci zgaśnie ogień za twój grzech"!

Ktoś wędrując drogą ogień pali:
Już śpiew iskier zmęczenie pokona.
Można żyć bez domu i bez szabli,
Ale trudno przeżyć dzień bez ognia.

Dla Abchazów iskra zawsze bogiem:
Bóg Saaryka z łuku długo mierzył...
No i strącił z nieba gwiazdy płomień.
I w ten ogień ludzie teraz wierzą.

Anatol Adżindżal (GRUZJA)

GÓRY NAD MORZEM

Pędzę na białym koniu
W ukłonach gór.
I leci siwy do mnie
Północny bór.

Ścieżka jak struna dzwoni,
Ostrzega mnie.
Pędzę na rączym koniu
Po górskim dnie.

Coś siada mi na siodle —
Nimfa lub czart?
O świcie mnie przywiodło —
Do białych chat.

Raczija Owansesjan (ARMENIA)

KLEPSYDRA

Przyznam się, że z lękiem czytam
Miejsca w gazetach, gdzie piszą o śmierci.
A może nagle spotkam nazwisko
Tego z przyjaciół, z którym
Tyle razy nocą chodziłem,
Tyle wina wypiłem, gawędząc...

I nie uwierzę. to nieprawda,
Że on istnieje już w postaci liter
Na tej stronicy... Znów zacznę czytać,
Znów przypominać. I oto patrzę
W jego przyjazne oczy; słyszę jak opowiada
Coś wesołego... I właśnie dlatego
Nie lubię czytać miejsc w gazetach,
Gdzie piszą o śmierci.

Przekład Romana Gorzelskiego

Kazimierz Andrzej Jaworski –wydawca literatury rosyjskiej

Kazimierz Prus

WE WRZEŚNIU minęła 6 rocznica śmierci człowieka niezwykle zasłużonego dla kultury polskiej, poety, uznanego tłumacza kilku literatur, wydawcy i popularyzatora twórczości obcej w naszym kraju — K. A. Jaworskiego. Powszechnie znane są jego zasługi jako długoletniego redaktora „Kameny", udział w redagowaniu w latach 50-tych dodatków literackich do „Sztandaru Ludu". Już wtedy wykazał swoją pracą, że nie obojętna mu była sprawa popularyzacji literatury rosyjskiej w Polsce. Te idee przyświecały także wielu jego przedsięwzięciom edytorskim okresu międzywojennego, o których traktuje niniejszy artykuł.

Jaworski — tłumacz poezji rosyjskiej już w okresie międzywojennym dążył do szerokiego zaprezentowania jej czytelnikowi polskiemu. Służyły temu wydawane własnym sumptem zbiorki przekładów. W 20-leciu międzywojennym ogłosił ich pięć[1]). Publikowane po przezwyciężeniu poważnych trudności technicznych, przy bezpośrednim udziale materialnym wydawcy były przedsięwzięciem bez precedensu, świadczącym o bezinteresowności edytora, jego ogromnym umiłowaniu poezji, sztuki. Czyn wydawcy umożliwiał szerokim kręgom czytelników trwałe obcowanie z twórczością poetów rosyjskich, był znaczącym wkładem w rozwój zbliżenia kulturalnego między dwoma narodami.

Pierwszy zbiorek ogłoszony w 1931 r., przynosi przekłady poezji Jesienina, autora bardzo u nas popularnego w tym okresie. Było to pierwsze w Polsce wydanie książkowe większej liczby utworów tego poety, co stwarzało korzystniejsze warunki odbioru niż zamieszczenie w prasie. Książka przyczyniła się w dużym stopniu do upowszechnienia poezji Jesienina w naszym kraju.

Zbiorek zawiera 20 wierszy Jesienina, które stanowią przekrój całej twórczości autora *Inonii*, są wyciągiem z tematów, nastrojów, motywów wierszy Jesienina. O doborze tłumaczeń zadecydowały upodobania Jaworskiego, a zbiorek pozwala prześledzić rozwój indywidualności twórczej radzieckiego poety.

Tomik znalazł szeroki oddźwięk w krytyce polskiej. Większość recenzentów wysoko oceniła trud wydawcy, poziom przekładów.[2]) Pionierskie, informacyjne tłumaczenia Jaworskiego ugruntowały sławę Jesienina w Polsce, oddały w polszczyźnie spory zasób liryzmu, intymności i szczerości utworów radzieckiego twórcy.

Drugi, wydany kosztem tłumacza, zbiorek przynosi 12 przekładów z Błoka, którego tłumaczył nawet wcześniej niż Jesienina. Dobór utworów jest przypadkowy, nie stanowi przeglądu twórczości autora. Upodobania tłumacza zadecydowały, że przybliżył czytelnikom tylko kilka utworów z przedrewolucyjnego dorobku Błoka.

Wydanie odbiło się głośnym echem w prasie polskiej.[3]) Krytycy podnosili aktualność pozycji, ambicje wydawcy systematycznego zapoznawania z poezją rosyjską, dobry poziom przekładów. Tomik reprezentował Błoka w naszej literaturze. Odznaczał się, dzięki linorytom Z. Waśniewskiego, wysokim poziomem estetycznym, był osiągnięciem Jaworskiego-edytora.

W 1935 r. wydał Jaworski drugi tomik przekładów Jesienina. Był on do lat 60-tych jedynym większym wyborem poezji Jesienina w Polsce. W tym zawiera się jego ogromne znaczenie. Wybór prezentuje 30 utworów autora *Listu do matki*. W doborze przekładów odgrywały zasadniczą rolę intencje estetyczno-poznawcze. Zbiorek nosi cechy wydania nowoczesnego. Poprzedza go wstęp historyczno-literacki S. Kułakowskiego, zdobią wkładki linorytowe oparte na motywach poezji Jesienina. Mankamentem wydania był niski nakład. Głosy krytyki wskazują jednak, że wzbudziło ono szerokie zainteresowanie, miało duży zasięg oddziaływania.

Kilkanaście recenzji w prasie polskiej[4]) zawierało sądy o poprawności tłumaczeń Jaworskiego, staranności wydawcy. Uznano translatora najlepszym obok Tuwima interpretatorem liryki rosyjskiej, podkreślono bezinteresowność edytora, jego udział materialny.

W 1935 r. wydał Jaworski następny tomik przekładów Błoka: większość tłumaczeń wyszła spod jego pióra.

Oba tomiki błokowskie były przez wiele lat jedynymi wyborami jego poezji w Polsce. W tym zawierają się zasługi Jaworskiego jako tłumacza, wydawcy i „odkrywcy" Błoka społeczeństwu polskiemu. Obecnie przekłady te należą do przestarzałych, historycznych, stanowiących jeden ze szczebli rozwoju sztuki przekładu artystycznego w Polsce.

W 1936 r. wydał Jaworski ostatni w 20-leciu międzywojennym zbiorek przekładów własnych z poezji rosyjskiej. Otrzymali czytelnicy spolszczony con amore ze względu na treści alpinistyczne poemat M. Gronskiego *Belladonna*. Praca nad przekładem była trudna, wymagała wiedzy, pomysłowości, kunsztu translatorskiego.

Przez krytykę („Okolica Poetów" 1936, nr 6) i przyjaciół Jaworskiego (T. Bocheński, S. Napierski) edycja była przyjęta z zadowoleniem. Wydanie Gronskiego, poprzedzone wstępem J. Iwaska, zawierające w tekście linoryty Waśniewskiego należy do pionierskich wydań tego twórcy w Polsce. Do dnia dzisiejszego Jaworski dyskontuje całą sławę odkrywcy patetycznej, zbliżonej w tonacji do liryki Cwietajewej, poezji Gronskiego.

Zrealizowane przed wojną edycje oraz plany wydawnicze poezji imażynistów rosyjskich, Majakowskiego, Lermontowa, współczesnej liryki rosyjskiej świadczą o planowości akcji popularyzacji twórczości wschodniego sąsiada, ukazują na poważne zasługi Jaworskiego jako energicznego wydawcy.

Zapoczątkowana w okresie międzywojennym akcja edytorska była kontynuowana po 1945 roku i wzbogaciła nasz rynek literacki interesującymi pozycjami poezji rosyjskiej.

W 1948 r. ukazał się przygotowany przy dużym udziale Jaworskiego tom przekładów F. Tiutczewa.[5]) Współredaktor całości jest także autorem 95 przekładów wierszy. Wybór był najwszechstronniejszą w Polsce prezentacją liryki Tiutczewa i nosił cechy wzorcowego wydania poezji. Otwierał go wyczerpujący wstęp Zawodzińskiego, a zamieszczone przekłady pozwalały na wyrobienie własnego poglądu na poezję Tiutczewa. Otrzymał bowiem czytelnik zasadniczą część całej, liczącej około 200 wierszy twórczości Tiutczewa.

Antologia Jaworskiego z większością pionierskich przekładów została pozytywnie przyjęta przez opinię polską, czego świadectwem głosy recenzentów.[6])

Po wojnie ogłosił Jaworski samodzielnie jeszcze dwie pozycje przekładów poezji rosyjskiej.[7]) W 1959 r. pojawiły się *Moje piosenki* M. Agniwcewa oraz *Sonety zimowe* W. Iwanowa. Znowu popularyzuje wydawca i tłumacz autorów mało u nas znanych, trudno dostępnych, przez co przyczynia się do ich upowszechnienia.

Omówione dotychczas edycje wyszły dzięki inicjatywie, staraniom oraz nakładowi pracy redaktorskiej Jaworskiego. Mimo czynionych starań nie udało mu się wydać zbiorów Błoka, poezji rosyjskiej, liryki radzieckiej okresu wojny i odbudowy kraju, tomików Achmatowej, rosyjskiej liryki miłosnej, wierszy Szczipaczowa. Częściowo przygotowane przekłady przedrukowano w *Stopach czasu*[8]) oraz *Pismach*[9]) — edycjach przygotowanych przez Wydawnictwo Lubelskie.

Reasumując działalność Jaworskiego-wydawcy należy podkreślić, że w wielu realizacjach miała ona charakter pionierski, a jego wydania długo służyły jako bogate źródła materiałowe pozwalające poznać poezję rosyjską i radziecką. Edycje Jaworskiego umożliwiały przeszczepianie poezji rosyjskiej do naszego obiegu kulturalnego, utrwalały jego opinię zasłużonego translatora literatury. Działalność wydawnicza Jaworskiego literatury rosyjskiej należy do ciekawych kart stosunków kulturalnych polsko-rosyjskich.

---

[1]) Są to: S. Jesienin, *Wybór poezji*, Z rosyjskiego przełożył K. A. Jaworski, Warszawa 1931, A. Błok, *Ogród słowiczy* (tłum.), 1934, S. Jesienin, *Spowiedź chuligana*, (tłum.), 1935, A. Błok, *Wiersze włoskie*, (tłum.), 1935, M. Gronski, *Belladonna*, (tłum.), 1936.

[2]) Por.: Kat. S. Jesienin, *Wybór poezji*, rec., „Gazeta Literacka" 1932, nr 8, G. Timofiejew, *Wieści z Polski Literackiej*, „Głos Poranny" 1934, nr 71, K. Czachowski, rec., „Czas" 1932.

[3]) Zob.: H. Zasławski, *Ogród słowiczy*, rec., „Zet" 1934, nr 34, K. W. Zawodziński, *Liryka*, „Rocznik Literacki" 1934, Warszawa 1935.

[4]) Zob.: i.. *Spowiedź chuligana* w tłumaczeniu K. A. Jaworskiego, „Okolica Poetów" 1935, nr 1, H. Radziukinas, *Jesienin po polsku*, „Prosto z mostu" 1935, nr 21, E. Bladowski, *Spowiedź chuligana*, „Akcja Literacka" 1935, nr 3.

[5]) T. Tiutczew, *Wiersze wybrane*, Przełożyli K. A. Jaworski, T. Stepniewski, J. Tuwim, Pod redakcją K. A. Jaworskiego i K. W. Zawodzińskiego. Wydawnictwo Wł. Baka, Łódź — Wrocław 1948.

[6]) A. K., *Liryka Tiutczewa*, „Słowo Powszechne" 1949, nr 294, Z. Lichniak, *Tiutczew po polsku*, „Dziś i Jutro" 1949, nr 13, Cz. Zgorzelski *Tiutczew po polsku*, „Kamena" 1953, nr 1—2.

[7]) W. Iwanow, *Sonety zimowe*. Przełożył K. A. Jaworski, Lublin 1959. M. Agniwcew, *Moje piosenki*, wybór. Przełożył K. A. Jaworski, Lublin 1959.

[8]) K. A. Jaworski, *Stopy czasu*, Lublin 1961.

[9]) A. K., *Liryka Tiutczewa*, „Słowo Lubelskie 1972, 1974.

Sergiusz Jesienin

PIEŚŃ O SUCE

Rankiem gdzieś w kącie obory,
Za rzędem złotych plecionek,
Urodziła suka siedmioro,
Siedmioro rudych szczeniątek.

Do wieczora je całowała
Liżąc im pyszczki pod uchem
i sączył się śnieżek stopniały
Pod ciepłym matczynym brzuchem.

A wieczorem, kiedy już kury
Na grzędach sen zwykle morzy,
Przyszedł gospodarz ponury
I pieski do worka włożył.

Poprzez zaspy śnieżne pędziło,
Nadążając w trop za nim, zajadłe
I tak długo ... , długo marszczyło
Nie zamarzłej wody zwierciadło.

A gdy się już wlokła z powrotem
Liżąc pot, co wystąpił na sierści,
Nagle zdał się jej miesiąc złoty
Jednym z jej biednych dzieci.

I patrząc w niebo sine
Zawyła swą straszną boleść,
A miesiąc wąziutki płynął
I schował się za polem.

I głucho, jak kamień się toczy
Rzucony złośliwie w bliźniego,
Potoczyły się smutne psie oczy
Gwiazdami złotymi po śniegu.

Przełożył K. A. Jaworski

SZUKSZYN

NATRAFIŁEM w książce wypożyczonej z biblioteki na dwa zrobione ołówkiem podkreślenia. Małe fragmenciki, wybrane spośród dwustupięćdziesięciu stron — najważniejsze dla kogoś, kto czytał książkę przede mną. Kto to zrobił? Dlaczego właśnie przy tych zdaniach na moment zatrzymał się? Dlaczego sięgnął po ołówek i je zaznaczył? Może przepisał do zeszytu, pamiętnika, dziennika lektur? Ktoś (ale kto?) przeczytał je i ujrzał w tajemniczym lustrze literatury, tak często odbijającym nasze własne zdania: niepowiedziane, zapomniane, domyślne zaledwie — myśli zapisane jaśniej, niż gdyby samemu dobierał słów.

„Szczęście, bracie, jest jak ten miętus, śliskie: już je niby złapałeś, już trzymasz je w rękach, a popatrzysz — i nic z tego." Oto jeden z fragmentów — proste, banalne wyrażenie tzw. życiowej prawdy. Nieporadne nawet. Śmieszne. Podkreślił je ktoś zawiedziony, rozgoryczony, smutny. Dziewczyna, rozpamiętująca głupio skończoną miłość. Starzec, spoglądający w życie za siebie. Może zmęczona praniem gospodyni domowa, gdy wreszcie mogła przed zaśnięciem chwilę poczytać.

„Dobrze. Och, jak dobrze... Rzadko bywa człowiekowi tak dobrze, żeby sobie powiedział: dobrze mi. Tylko kiedy nam jest źle, wtedy myślimy: «A gdzieś tam komuś jest dobrze». A kiedy jest nam dobrze, nie myślimy: »A gdzieś tam komuś jest źle«. Nam jest dobrze i... w porządku. Taki jest drugi zakreślony fragment w zbiorze opowiadań pt. „Rozmowy przy jasnym księżycu" Wasilija Szukszyna.

Być może byłoby lepiej, gdyby człowiek doświadczając myśli o szczęściu, o tym, co dobre, a co złe, o sposobach rozwiązania swych kłopotów z miłością, nieszczęściem, że śmiercią bliskich lub własną, o niepewności wiedzy i niepewności w ogóle, doświadczał jednocześnie, że wplątuje się w wielkie i wieczne, nierozwiązywalne niepokoje ludzkości, by historia i dzieła wcześniej stworzone podpowiadały mu nieoryginalność własnych doznań i próżność szamotaniny. Ale jest tak, że odczuwając niepokój, nie pamięta się o historii, pozostając ze swym niepokojem w bezwzględnej samotności. Choć już tyle razy pytano „być albo nie być" i odpowiadano, jak być, zawsze się jest na nowo samotnym ze swymi wątpliwościami i ciągle nowe po-

W KRAJÓBRAZIE SŁÓW

Nie ma jesieni

Zygmunt Mikulski

CORAZ częściej uciekam w wiek dziewiętnasty. Gide, Huxley, a nawet Proust. Którego nie lubię.

(P. S. czyli Przypisek Symultaniczny. Dlaczego nie lubię Prousta? Bo przereklamowany. Bo wcale nie taki wnikliwy, dogłębny, subtelny, jak to sugeruje oficjalna krytyka literacka. Tu może powstać pytanie następne: dlaczego oficjalna krytyka literacka stara się lansować sądy nieprawdziwe, czyżby wszyscy z oficjalnych krytyków literackich mieli przytępiony słuch? Mówię to bynajmniej nie w nadziei otrzymania punktów za odwagę. Mówię z potrzeby usłyszenia prawdy, choćby prawdy powiedzianej przeze mnie samego, a sam miał być posądzony o skłonność Herostratesa. Ale to sprawa wtóra).

A uciekam nie dlatego, że coraz mniej rozumiem współczesność. Uciekam dlatego, że rozumiem ją coraz więcej. Co wcale nie jest moją zasługą. Jest „zasługą" współczesności, że staje się coraz mniej skomplikowana. Nie w tym sensie, że coraz łatwiej w niej żyć. W tym sensie, że coraz prostszym — w znaczeniu: bardziej uproszczonym — podlega zasadom. Więc coraz mniej jest w niej do rozumienia.

Na przykład to, czym się wdzięczy, w czym uważa, że jest jej do twarzy, co wystawia na każdy intelektualny sezon: paradoksy. Nawet jako zwolennik krzyżówek i szachowych problemów nie gustuję w tych stanach rzeczy, które rzeczywiście składają się z tendencji sprzecznych, a mimo to się nie rozsypują, ale umysłowej pożywki nie zawierają. Cóż mi z długoletniego bębnienia o pokoleniach i generacjach? Widocznie w sprawach literatury nie wiele istotnego ma się do powiedzenia, skoro główny plan uwagi zajmuje wyciąg metrykalny z urzędu stanu cywilnego. Ponadto z tymi pokoleniami to istna bujda. Owszem, grupa kilkunastu arrywistów zawsze chętnie się skrzyknie dla ułatwień w zakresie zdobywania placu, ale kiedy praktyka wykazuje, że zbiorowe wystąpienia nie przynoszą korzyści jednostkom, „pokolenie", a więc koncern rozpada się na zbiorowisko outsiderów. Nad czym znów nie ma potrzeby rozdzierać szat. Bo czyż w ten sposób następuje jakaś dezintegracja? Zbyt skłonni jesteśmy do diagnoz, prognoz, tez pochopnych, a mających wszelkie cechy podszytego kasandryczeniem postępowania naukowego. Kiedyś załamywano ręce nad tym, że Warszawa skupia przeszło połowę wszystkich członków Związku Literatów Polskich. Miało to być hamulcem w rozwoju polskiej literatury. Tymczasem jak zapis w metryce urodzenia nie jest pasowaniem na rycerza generacji, tak karta meldunkowa nie przesądza o jakichkolwiek zjawiskach artystycznych. Z faktu, że tylu pisarzy mieszka w Warszawie, wynika tylko, że tylu pragnęło się dobrze urządzić. W czym doprawdy nic nagannego. Naganny jest jedynie nepotyzm sprawiający dobór nazwisk „na tapetę" nie według kwalifikacji ale według klucza pokrewieństw i koneksji.

Współczesne, bardzo współczesne jest traktowanie spraw literackich na podstawie ich organizacyjnych i towarzysko-społecznych opakowań. Czysta forma — ale nie ta Witkiewicza. Zarzuca się młodym — i oni sobie wzajemnie — utylitarny stosunek do literatury. Że tylko pogoń za stypendiami, nagrodami, zagranicami. Bogać tam. Byłoby to jeszcze pół biedy. W rzeczywistości jest gorzej. Jest tak, że wszystko, co się składa na rzeczywistą pracę literacką — stosunek do świata, wrażliwość na bodźce, chęć ingerencji w obszar cudzych refleksji — schodzi na plan dalszy, jeśli w ogóle jakiś plan zajmuje wobec sympozjów, wiosen, biesiad i turniejów jednego wiersza. We wspomnieniach sprzed lat kilkudziesięciu nie raz czytamy jak to dwaj młodzi ludzie na ostrym wietrze jesiennym, ale rozpaleni gorączką rozmowy przespacerowali pół nocy rozprawiając o poezji, pięknie i miłości. Pokażcie mi teraz coś takiego. „Stary, a ile od arkusza?" — tylko w tym stylu odbywają się rozmowy między twórcami. Mówię to nie mając pretensji o chęć zarobku. Niech poeta ma pieniędzy jak najwięcej. („Bo kiedy wiersze staną się monetą, cóż to za rozkosz być wtedy poetą" — Gałczyński.) Ale chcę spytać dlaczego o samym pisarstwie mówi się marginesami, a marginesy — okoliczności towarzyszące uprawianiu literatury — wchodzą do zasadniczego tekstu rozmów. Naiwnie pytam? Naiwnie. Ale właśnie tej naiwności brakuje w atmosferze dzisiejszego czasu i dlatego tak często chodzę odetchnąć wiekiem dziewiętnastym.

Owszem, zdaję sobie sprawę, że przed dziewiętnastym był osiemnasty, więc jakimś wehikułem czasu przeniesiony w ów dziewiętnasty dalej miałbym powód czuć się nie na swoim miejscu. Istnieją prawidłowości epok i tego nic nie zmieni. Każda ma swoje oblicze, swój gest, swoją garderobę. I one rzutują na każdorazowy kształt kultury. Związek ten jest tak ścisły, że wnikliwy socjolog potrafiłby wydedukować wiedzę o dzisiejszych problemach literackich z widoku ulicy, zachowania się ludzi, zawartości sklepowych wystaw. Cóż zatem zostanie wobec komunału o nieodwracalności czasu? Melancholijny uśmiech? Ale to nie rozwiązuje sprawy. Bo w tej prawidłowości jest coś nieprawidłowego. Z faktu, że ja daję drapaka w wiek dziewiętnasty nie wynika, że ktoś inny pozostając w dwudziestym przyjmuje postawę czynnego obrońcy dobrych obyczajów intelektualnych.

Czy ich brak wynika z literackiego przeludnienia? Byłby to objaw doprawdy przygnębiający, bo świadczyłby o zaniku wartości moralnych przy postępie sprawności warsztatowej, co by nakazywało odwołać całą literaturę, skoro prowadzi do wynaturzeń.

(Przypisek Symultaniczny nr 2. Czy mówiąc o postępie sprawności warsztatowej jestem z sobą w niezgodzie? Tyle razy przecież mówiłem o współczesnej hochsztaplerce. Wyjaśniam. Po pierwsze — wcale nie twierdzę, że nie widzę żadnej różnicy w porównaniu np. z nudnym wzorcem powieści pozytywistycznej, po drugie — nie każdy postęp odbywa się w kierunku dodatnim, postępować można również na manowce w tym też wykazując sprawność.)

Ale to przeludnienie, ten literacki wyż są widoczne. Kiedyś wolna przestrzeń między pisarzami rozciągała się na odległość intelektualnego kontynentu. Ilu pustelników liczyła literatura. Wymieniony już Proust, Flaubert, Conrad, przecież i „galernik pióra" Balzac, z Polaków Miciński, Berent, Szaniawski. Mimo to spółka autorska to zjawisko ówczesne, a nie dzisiejsze. Mówię to bez żalu, nawet na dobrą sprawę nie wyobrażam sobie praktyki polegającej na trzymaniu pióra przez dwóch autorów, ale chcę stwierdzić, że mimo okoliczności geograficznego i tematycznego oddalenia tendencje dośrodkowe — w tym sensie istotnym — grały większą rolę. Dzisiejsze zjazdy to literacka turystyka, w najlepszym razie życie towarzyskie.

No więc uciekam. Z uczuciem satysfakcji? Obojętności? Bez żalu? Byłbym, pieniaczem, a nie polemistą, gdybym udawał, że z lekkim sercem rezygnuję z aktualizowania wartości, do których jako czytelnik kiedyś przywykłem, a po które muszę już udawać się do zakurzonego regału biblioteki. Aktualizowania, czyli nadawania im współczesnego wyrazu. Gdzie jest on? Czy już ze świata znikły jesienie? Czy już przestał dąć wiatr i opadać liść, a nastały same „orientacje", „konfrontacje", „realizacje" i „generacje"? Poezja przełożona na arkusz zgłoszenia uczestnika imprezy, na recenzencki slogan. Trudno. Walizka już pełna. W drogę.

-BLIŻEJ JEST DO SERCA

Karol Mucha

wstają przez to sytuacje ludzkie — chociaż tak podobne, identyczne może z już kiedyś zaistniałymi, wciąż ta sama jest niewiedza i tak samo z trudem zdobywa się wiedzę, nie osiągając jej nigdy do końca. Rzadko przydatne są wielkie, rozległe przemyślenia na temat ludzkiego losu. Częściej potrzeba prostego ukojenia w codziennym niepokoju.

Rosjanie mówią w takim przypadku o „bólu duszy". Czy jeszcze można napisać o tym opowiadanie?

Ból duszy — gdy niepokój sygnalizuje istnienie wartości, a wraz z tym trudy ich zrozumienia i wyboru. To jeszcze ani filozofia, ani system moralny, ani polityka — najwyżej mądrość życiowa. Wasilij Szukszyn, który ośmielił się napisać opowiadanie o bólu duszy, nigdy nie przydawał swym postaciom mądrości nazbyt doskonałej. Dwa zacytowane fragmenty to słowa wypowiedziane przez postacie starców, którzy wiedzą, co mówią, a jednak nie wiedzą... Dziwna jest literatura stworzona przez Szukszyna, w której postaci doświadczają niepokojów o wymiarze hamletowskim bez patosu, bez oprawy tragicznej — tak po prostu, jak to się dzieje w naturze. Ludzkiej również.

Twórczość Szukszyna to rozdział zamknięty — autor nie żyje. Zostawił po sobie jako pisarz (debiutował w 1961 r.) kilkadziesiąt opowiadań i dwie powieści, jako reżyser kilka filmów („Kalinę czerwoną") i swoją postać w rolach filmowych. Urodził się we wsi Srostki w Związku Radzieckim, wychowywał w kołchozie, potem pracował jako ślusarz na Syberii, służył w radzieckiej marynarce wojennej, wreszcie studiował reżyserię filmową. Zmarł w 1974 r. mając czterdzieści pięć lat. Taki życiorys budzi niepokój — posądzenie życia o niespełnienie obowiązku wobec człowieka.

Twarz Szukszyna. Znana ze zdjęć. Rysy cokolwiek toporne, obrobione na okrągło, prosta gęba. I mądre oczy. Ładna twarz, ale nie natchnionego intelektualisty. Człowieka, który wie, że myśli i wie co myśli. Twarz taka, jak jego literatura.

Ludzie w literaturze Szukszyna — chłopi, robotnicy, nauczycielki wiejskie, studenci rodem ze wsi, aktywiści spółdzielczy. Pisarstwo, w którym człowiek myśli, lub musi myśleć, ale to myślenie dziwne, pochodzi z duszy i rozum musi jej pomóc. Jeśli nie — ona boli. Rozum jest narzędziem uczucia. Jak każdy przyrząd, miast nadawać precyzji w urządzaniu świata, komplikuje go.

Opowiadania Szukszyna kończą się właściwie nie wiadomo gdzie. Zaledwie błysnęła przed człowiekiem jakaś możliwość — szczęścia, miłości, zrozumienia, pojednania. Stało się coś, co zmusiło do poruszenia duszę i rozum. Stało się na ziemi, tuż obok — w chacie, na wiejskiej drodze, w pociągu, w szpitalu, przy sianokosach. I rozum niczego nie rozumie. Dusza pojęła, poczuła niepokój, ból, ale co się dzieje z rozumem? Dlaczego nie podsuwa swej racjonalnej siły do pomocy? Jakże to byś chciał, człowieku, nie rozumiejąc własnej duszy, od razu sięgać po rozum? Do głowy? Bliżej jest do serca. Ale czy bliżej?

Tak biorąc, opowiadania Szukszyna rzeczywiście kończą się nie wiadomo gdzie, chociaż gdzie się kończą, wiadomo. W tym pisarstwie, gdzie nie ma o słowo za dużo, dotykającym tajemnicy ludzkiej, nigdy nie zostaje przekroczona linia dopowiedzenia do końca, śliskiego uogólnienia, łatwego dydaktyzmu. I dlatego w radzieckiej krytyce o literaturę Szukszyna przedłuża się drogę ciągnącą od Turgieniewa, Czechowa, Tołstoja i Szołochowa.

Zaczął pisać w latach sześćdziesiątych. Historycy literatury radzieckiej wymieniają kilkadziesiąt nazwisk młodych twórców z tamtych przełomowych lat, nazywając ich wspólnie „szestidiesiatniki". Pisano o nich, że w epoce podboju kosmosu wciąż rozczulają się nad staroświecką obyczajowością wieśniaczą, nad starcami i staruszkami. Ale potem zauważono, że ci „dziwni" pisarze, a między nimi Szukszyn „podejmując temat wsi dawnej i współczesnej, analizują najbardziej palące problemy naszego stulecia".

Zdobycie Księżyca nie okazało się szczęściem ludzkości. Co nim jest — na co dzień człowiek wie mgliście. Ale niepokojące wydarzenie w środku tajgi, w dalekiej wsi kołchozowej więcej uczy niż doświadczenia w laboratoriach. Zresztą miejsce nie jest ważne. Opowiadania Szukszyna, rosyjskie dzięki scenerii, nie są tylko rosyjskie, tak jak nie jest „francuska" proza Saint-Exupéry'ego, czy „amerykańska" proza Hemingway'a.

Wojciech Żukrowski zastanawiał się nad obecnym pisarstwem radzieckim: „Oni nie tylko mają o czym pisać, ale i potrafią pisać o prostych ludziach, którzy wcale nie są tacy prości, jakby można sądzić z naszych, coraz bardziej na jedno kopyto wyklepanych debiutów. Może po prostu w pisarstwie radzieckim jest solidniejszy budulec, większa znajomość samej materii życia, nie zadowalają się rzemieślniczą sprawnością ręki, ale mają czas na zanurzenie się w pozornie monotonną powszedniość wioski, czy syberyjskiego miasteczka (...)".

Szukszyn nie chciał, by nazywano go pisarzem wiejskim, ale powiedział, że o niczym innym niż o wsi nie umie pisać. Obiecywał, że zajmie się innymi tematami. Nie zdążył. Pozostało więc to, co umiał naprawdę — literatura o sumieniu ludzkim, o wrażliwości, o niepokoju. Miał o czym pisać. Czytelnik „miejski", wykształcony, obyty, uodporniony na dziwne atrakcje świata, pozostaje bezradny wobec niedopowiedzeń Szukszynowskiego „wiejskiego" pisarstwa. Jak się jest bezradnym, gdy życie, a nie wymyślone „układy", staje przed człowiekiem. Wówczas nie słowa, lecz uczucia decydują i obnażają słabość lub wyzwalają siłę człowieka.

Szukszyn unikał pokazywania wprost, przełomu dziejowego, w jakim uczestniczy ludzkość naszego wieku. Ale wszystko z tym wielkim tematem jest związane. W powieści pt. „Rodzina Lubawinów" rewolucja radziecka istnieje jako potężna siła, ale niewidoczna na wsi bezpośrednio. Świat zmienia się naturalną koleją losu, nierozumiejący przemian giną. W opowiadaniach zaś w konsekwencji tych przemian widać na wsi, jak na modelu, co trapi współczesnych — wciąż te same niepokoje o tradycję, o szczerość uczuć, o prawdę mającą wypełnić lukę między czasem przeszłym a nadchodzącym. Tę prawdę, że łatwiej zmienić wiele wokół, niż cząstkę wewnątrz człowieka. Starał się Szukszyn wydobyć na światło chłopską wiedzę o życiu, którą łatwo się chowa w zakamarki, gdy przyjdzie żyć w nowoczesnym świecie, w wielkim mieście. Jego postaci są uczciwe, gdy żyją własną wiedzą, lecz gdy się jej pozbywają, nie umiejąc od razu — bo to niemożliwe — zdobyć nowe prawdy, przekształcają się w ludzi zakłamanych i złych. Sam Szukszyn żałował okresu w życiu, gdy mu się wydawało, że wstyd pozostawać chłopem, skoro mieszka w mieście i na wieś nie wróci.

Wielki, uniwersalny temat — popchnął Szukszyna od krótkich opowiadań do sagi o Lubawinach i ledwie skończonej przed śmiercią powieści o Stiopie Razinie. Na wielkim temacie łatwo wykoślawić pióro, ale Szukszyn znalazł metodę — najlepsze swe karty pisał jak scenariusze filmowe: kadrami, krótkimi zbliżeniami, bez przystawania nad panoramą, z poślizgiem kamery po szczegółach. Jego opowiadania są pisane jak reportaże. Lecz nie o tym, co na zewnątrz człowieka, ale w nim.

Nosiłam piękną gwiazdę

Dokończenie ze str. 1

to moje czuwanie i opieka na coś się zdały, że doktor zadowolony ze mnie i z tego, że chorzy już się podnosili. Niektórzy rwali się do wstawania, nawet na front wracać chcieli. No, dobrze mi było. Przyuczoną byłam, ale sanitariuszką.

W ludziach ruskich i ukraińskich gniew był duży, bo wojna się przedłużała, a bieda coraz większa. Traktowani byli przez carskich okropnie. W końcu, ta rewolucja, o, jak się zaczęła! Strach! No, przecież każdy bał się. To była siła od wieków i chcieć ją obalić w jeden dzień, w jedną godzinę!? To była rewolucja. Rewolucja to była! Wielkie wojska z oficerami i oni, co ich z początku tak mało było. Cała Ukraina się kotłowała: raz jedni u władzy chwilowej, raz inni. W Charkowie raz nasi, a po jakimś czasie znowu biali. I ty, człowieku szary, pośrodku tego wszystkiego się rozeznawaj, myśl, jak życie swoje i sióstr uchronić, jak postępować, żeby być w zgodzie z sumieniem i co do gęby żeby było włożyć naszym pisklętom. Pierwsze godziny były straszne. Portrety cara rozeźleni ludzie rwali, carskie orły zrzucali i deptali, do pałacyków burżuazji wpadali... Rwali wszystko, meble łamali, kanapy, płusze i pierzyny pruli. Nie o rabunek im szło, to potem grabieżnicy robili. W ludziach zemsta była od dawna i czekała... Trudno opowiedzieć. Robotnicy ginęli, żołnierze, co do nich się przypisali, ginęli, bo wielka siła im opór stawiała. Ale to była rewolucja.

Nosiłam znaczek taki duży na fartuchu, wpinałam go na płaszczyku, o, tu nad lewą piersią. Nosiłam piękną, ciemnoczerwoną gwiazdę.

Ojciec do mnie: „Na co ci, po co ci. Skończy się wojna, będzie po rewolucji, pojedziem do Polski. Ty w nic się nie mieszaj". A czy ja się mieszałam? Wpierw zarobić chciałam, tej zupy rodzinie i dzieciom co dzień przynieść ze szpitalnej kuchni, żeby chociaż tyle zjedli, bo i ojcu ludzie już chleba za łatkę na bucie nie przynieśli, słoniną się podzielili, bo sami nie mieli. Wciskali mu kierenki i ukraińskie, i czort ch... ja tych pieniędzy przywiozłam potem plik i wyrzuciłam. Ludzie puchli od głodu. Chciałam pomóc rodzinie, dlatego byłam siostrą w Nikołajewskiej Bolnicy. Tak dobrze nie wiedziałam, czemu ja trzymam z czerwonymi, ja tego z początku nie wiedziałam. Brat Józek, on lepiej się w tym rozeznawał. Ojciec na mnie krzyczał, na niego krzyczał. Czemu on do partii się zapisał, po co z bolszewikami trzyma? Józek miał dużo kolegów, Polaków i Ukraińców, z wołyńskiej guberni. Oni też należeli do partii. Ojciec do niego: „Po co ci partia, na co ci ta partia?, nie masz nigdzie należeć, nigdzie, ani do białych, ani do czerwonych, nie nasza to sprawa nam wracać do Polski". Na mnie jeszcze więcej wrzeszczał, bo ja dziewczyna. On chciał, żeby to dziecko żyło, a nie do piachu poszło. Jemu źle przed pierwszą wojną nie było, trochę się dorobił, to on tej rewolucji nie chciał. Ja z początku nie wiedziałam o co idzie tak naprawdę. Czy ja zdawałam sobie sprawę o co to chodzi? Wpierw zarobić chciałam. Byłam u czerwonych, ale jak Charków odbili biali, to człowiek musiał się podporządkować, słuchać musiał, a jak ich przepędzili, to jednak się cieszył, coś tam lepszego odczuwał w sobie.

Mało jeszcze świadoma byłam, ale podobało mi się, że mogę tę gwiazdę tak nosić na bluzce, na białym fartuchu, albo na płaszczu, że ranni czerwonoarmiści mają mnie za swoją.

Był wiec w Charkowie. Na tym wielkim placu, ohoho!, dużo ludzi było. Ten plac to był, bo ja wiem, och, bardzo duży był, a na nim człowiek przy człowieku, żołnierz przy chłopie, robotnik przy żołnierzu, baby i młodzież, no, wielkie mnóstwo luda tam się zeszło. Pamiętam ten dzień, też poszłam, bo byłam już ciekawa, co się dzieje poza naszym mieszkaniem, poza szpitalem. Na balkon wyszedł dość niski mężczyzna. Też był taki z bródką, jak teraz pokazują go na obrazach. Taki chłopak był w moich oczach, w oczach dziewczyny. Chłopak był! Gdzie ja sobie zdawałam sprawę z tego, kto on jest i jaki on jest człowiek. W tej pierwszej chwili wydawał mi się za mały, żeby przemawiać do takiego tłumu wielkiego. Dotąd ludzie więcej widzieli białych, a wyglądali czerwonych i trzeba było takiego mówcę, żeby im pokazał siłę, o której mówić zaczął. Ale Lenin od razu miał posłuch na tym placu, jak tylko wyszedł, tylko ja tego nie zauważyłam, bo za bardzo jeszcze patrzyłam po dziewczyńsku. Ludzie go słuchali, i klaskali mu, i wznosili okrzyki. Jacyś bliżej niego wołali do niego i o coś pytali, ale dopiero z jego odpowiedzi można się było zorientować o co im chodziło. Ze mną wtedy zaczęło się coś dziać ważnego. On o tym ludziom wołał, że bolszewicy zwyciężą, chociaż tylu przeciwników, że o to walczą, żeby, no, nam było lepiej, no, czego mamy żałować — tej biedy? Za czym mielibyśmy tęsknić? Czemu lud roboczy miałby iść z białymi? Ja wtedy razem z nimi czułam. Też byłam, jeszcze bardziej byłam za czerwonymi i już wierzyłam, że w dobrej sprawie służę, że nie tylko o tę zupę dla sióstr, nie o ten kawałek chleba tylko dla nich mi idzie. A w tym mówiącym człowieku nie dostrzegałam więcej małego wzrostu, tylko go słuchałam, jak inni.

Wybiegłam z budynku szpitala. Szłam takim, jakby tańczącym krokiem przed siebie...

Ale znowu wróciła tamta potęga, co się już łamała, co jej kilka miesięcy u nas nie było. W naszym szpitalu ktoś chyba zdradził, że ranni to nie mużyki, ale krasnoarmiejcy. Przed barakami szpitala rów był wykopany. Nie pamiętam, czy go ci z kontry kazali naszym wykopać, czy tam on już był, czy miało tam być coś budowane i może ten długi dół do fundamentów był potrzebny. Bo ja wiem, był długości dziesięciu metrów, może więcej. Wywlekli naszych nad ten dół, parę razy w rząd ustawili i za każdym razem tych rannych biedaków rozstrzeliwali i na spód tego rowu spychali. Przedtem ich porozbierali. I salwy, i strzelanie do nich! Biali potrafili być okrutni... Rano było wyjść z domu po wodę, bo myśmy w ścianie nie mieli, my mieszkali w takiej osadzie na przedmieściu, gdzie sięgały pola chłopskie. W nocy słyszało się strzały, a rano takie żniwo wszędzie śmiertelne. Tu leży człowiek w kartoflach, tam w zbożu. Biedne chłopy, napady na nich były, większe chutorniki odwet na nich brali, albo i z przypadku oni ginęli. Człowiek się tego bał i tego się bał, bo nie wiadomo kto on jest, ten człowiek, co do ciebie się zbliża, co do ciebie mówi tak, jakby ciebie badał. Władek, on lepiej wiedział gdzie prawda, on wcześniej ode mnie, ale też on wybrał od razu, a może i dawniej, zanim to wybuchło, konspirował razem z tymi z wołyńskiej guberni? Mówiłam już, na początku, to ja byłam głupia na te tematy. Człowiek tego się bał i tamtego się bał. Bo nie wiadomo kto on jest. Czerwoni byli, człowiek im służył, jak czerwoni odeszli, biali wpadali, a przed nimi nie było rady. I, o, tak było. To była rewolucja i kontrrewolucja. To było straszne dla takiej dziewczyny, dla nas wszystkich, które byłyśmy sanitariuszkami. A chorzy, oni byli rozmaici. Pomocy potrzebowali, ale i ochrony przed okrutnością przeciwników. A kontra, ona najwięcej zniszczenia i ludzkiej udręki przynosiła. Nic pewnego, niczego takiego, jak dzisiaj, że człowiek mniej więcej wie, co będzie za godzinę, co jutro, co pojutrze. Oni byli rozmaici. Jedni tu, przy gardle lub ustach, albo i przy brzuchu rurki mieli założone, inni nogi, albo ręce wysoko podwiązane. Rozmaicie ich nieszczęście dosięgło.

Jedną rękę trzymałam w kieszeni płaszcza, w drugiej niosłam tobołek, bo w chuście owinęłam kankę z zupą, żeby ciepłą donieść do domu. Nuciłam sobie coś wesoło, coś rosyjskiego, a tu patrzę — sołdat na koniu jedzie. Skąd się wziął. Przedarli się chyba, a my nic o tym nie wiedzieli? A on do mnie podjeżdża i zaraz na tę gwiazdę patrzy. Głupia byłam, młoda, jakoś mi nie przychodziło do głowy, że ochronę to ja mam w Nikołajewskiej Bolnicy, a gdzie indziej, po drodze do domu, to już różnie może być. Mogłam tego znaku czerwonych nie nosić, bo do partii nie należałam, zresztą i oni byli ostrożni, wiedzieli, kiedy i z czym kryć się trzeba. No, Charków, to było już wtedy spore miasto. On był przez długie lata stolicą Radzieckiej Ukrainy. Przez tory przechodziłam, przez osadę taką jedną, już niedaleko do domu było. Ja idę, miałam tę gwiazdę na piersi i cieszyło mnie, że ją mam. Wesoło mi jest, chociaż jestem bardzo zmęczona. I wtedy nagle widzę tego białego i że no tak patrzy na ten mój znaczek.

Dookoła co się działo? Grabieżników dużo. Kradli, katowali niewinnych, bili, trupów pełno było. Biali to robili, ale i grabieżnicy, zbóje, co znaleźli dla siebie dobry czas. Jakiś okres nie było wcale żywności. To było między jedną władzą a drugą. Najgorzej było w dziewiętnastym. Okropnie było wtenczas. Był głód, wielki głód był wtedy. Chutorniki pochowali wszystko, sklepikarze to samo. Chcieli zadusić to nowe głodem. Ludzie puchli z tego, umierali! Wieczorem stawali z każdej rodziny z kartką, żeby rano być jak najbliżej, gdy upieką chleb, kiedy zaczną wydawać. Bochny piekli wtedy takie duże, ogromne. Pieczone były z sieczką, żeby tego chleba było więcej. I jeszcze Niemcy wtargnęli dość głęboko. Z różnych innych krajów naszły wojaka na tych biednych ludzi. Dusili ze wszystkich stron. A swoi, miejscowi, nie lepsi. Dobrze, że Władek akurat był gdzieś wysłany i nie mógł być w domu, bo by go biali aresztowali, tak jak jego towarzyszy z komórki partyjnej, tych z wołyńskiej guberni. Oni go nie wydali. Zamordowali ich podobno okrutnie, tych kolegów. Papierosy, ogień pomiędzy palce wkładali, nosy okaleczali, łamali żebra i ręce, mordowali strasznie.

Każdy myślał, żeby to nasze przyszli, żeby wrócili. Nasze, to czerwone. Każdy czekał naszych, naszych! A w sercu, we mnie już było pewne, chociaż do partii nie należałam nigdy, było coś miłego, że ja — tak, jak brat — z bolszewikami trzymam. Coś mi mówiło, że ja jestem po sprawiedliwej, że jestem po ich stronie, bo tam, u nich, prawda była. Byłam i jestem wierząca. Popi mówili, że jest inaczej, ale ja im nie wierzyłam, bo sama widziałam, ludzie im coraz mniej ufali. Oni, ci z kontry, oni już nie mieli posłuchu.

Nosiłam sobie tę gwiazdę na piersi. Byłam dumna: ja jestem bolszewiczka! Człowiek miał zadowolenie — to nasze, gwiazda! A tamten byłby mi głowę zdjął za nią.

W tym momencie, gdy on do mnie podjechał i zapytał: „Czto ty imiejesz tam, czto to jest?" i szablą pokazał na czerwoną gwiazdę, przypomniałam sobie wcześniejsze zdarzenie przed szpitalem, jak bezsilnie patrzyliśmy na podobną scenę. Sołdat był na koniu, jak ten, który przede mną. Po patkach nie szło rozeznać, kto on jest, bo ich nie miał, ale zachowanie jego mówiło, że on biały. Za nim, gdzieś dalej, widać było innych, którzy rechotali z tego, co widzieli tak samo, jak my widzieli zza okien. Zza bocznego skrzydła naszego szpitala szedł robotnik. Brudny był, z fabryki człowiek wracał. Żołnierz pytał go o coś i zaraz: bach, bach! Strzelił do niego. Tamten ręce do góry trzymał, bo mu pewnie nakazał, klęknął na kolano — chyba go zwaliło. A sołdat jeszcze się zniżył i szablą po nim i znowu strzelił. Kiedy robotnik wywrócił się całkiem, odjechali. Myśmy rannego zaraz oknem wciągnęli. Lekarz zbadał, żyw jeszcze był człowiek, wracz go zoperował i nam do bandażowania biedaka oddał. Potem wydobrzał, uratowali my jego.

Przypomniałam sobie to zdarzenie robotnika z białogwardzistą i to, jak z nim mogło się skończyć. Pomyślałam o tym moim młodym życiu, i że moja szyja tak blisko jego szabli. Opuścił broń niżej i znowu pokazuje na gwiazdę: czto to jest?! Pokazuje na ten czerwony znaczek, a głos ma taki, że już myślałam, że to moja ostatnia chwila. On znowu pyta i tą swoją szablą dotyka czerwonego, tak się to krwawo odbiło na tym żelazie i we wschodzącym słońcu, że prawie ze strachu zemdlałam. Odczuwam ucisk ostrza poprzez materiał płaszcza i bluzki, i słyszę jego rozkaz, żeby to zdjąć i wyrzucić.

Władek pierwszy z naszej rodziny zginął, poszedł za swoimi towarzyszami, ale w inny sposób. Na froncie miał tylko draśnięcia, białym się wyślizgiwał, a przywieźli go do szpitala chorego na tyfus. Do mnie go przynieśli, pod moją opiekę. Zaczęłam płakać, a on: „Nie płacz, siostro, nie płacz, będzie dobrze". Przywieźli go do Nikołajewskiej Bolnicy, ale nie mogłam go uratować. Za kilka dni zmarł także na tyfus ojciec. Zaraziła się od nich matka, ale podleczyła się i zwinęła się dopiero po roku. W czasie choroby i potem ja matką byłam moim siostrom małym, ja je odchować musiałam. Zostałam z małymi w dalekim i niespokojnym kraju, gdzie szarpanina była jeszcze wielka. Sama dwadzieścia dwa lata miałam. W czasie choroby mama to samo wciąż mi mówiła, co przedtem ojciec. Drugie jej dziecko przy czerwonych. „Po co ci, na co ci! Rzuć ten szpital. Ty tam zdrowie swoje stracisz, tobie z powodu tej służby u nowej władzy krótkie życie pisane". A ja do niej: „Cóż ja zrobię, jak ciężko jest żyć, kto rodzinę wyżywi? A zresztą, tam żołnierze ranni mnie potrzebują, tam chorzy czekają na pomoc. Kto im rany opatrzy, kto bandaże przewinie, zupy i herbaty poda? Kto obroni, jak znowu przyjdą biali? Kto tym rozbójnikom tak szczerze kłamać będzie, że w szpitalu same mużyki, że czerwonoarmistów już nie ma?! Mamo, ja tam muszę co dzień wracać, ja tam i w nocy potrzebna. Lekarzy mało, nas też jest za mało, wszystko na sanitariuszki spada. Bez nas oni poumierają. Oni nam wierzą, oni..." Matka żegnała się na sposób prawosławny, bo Maksymiukowie z Cycowa i jej rodzina tego byli wyznania. Żegnała się matka moja i rezygnowała z odmawiania mi służby w szpitalu, patrzyła na mnie, jak na straconą.

Potem nieraz myślałam o tej chwili: zapierałam się tego wszystkiego, co już trochę we mnie było i czy to tak źle się stało, że odpowiedziałam napastnikowi: znalazłam to. On znowu rozkazuje, do dziś sobie to przypominam, on znowu każe zdjąć. Na ten rozkaz ręka mi się podniosła i sama nie wiem, co chciałam zrobić — przykryć go dłonią, ochronić, czy zdjąć i się uratować. Nie wiem. Podniosła mi się ręka, ale on już końcem szabli wyrzucił znaczek w górę i mało mnie ostrzem nie przejechał po twarzy. Plusnęło tylko coś w kałuży. W błocie leżała moja piękna gwiazda. Zjopał mnie od bolszewiczek, sklął strasznie. Szablę schował i już wiedziałam, że mi darował. Uciekłam z tego miejsca ku przedmieściu, gdzie mieszkaliśmy, a on odjechał. Potem szukałam mojej ozdoby, mojej pierwszej błyskotki, którą w tamtym czasie nosiłam, ale nie mogłam jej znaleźć.

Kamena str. 6

MOSKWA '79 (3)

Pierwszy radziecki minister kultury

Mirosław Derecki

PRZY samym końcu słynnej moskiewskiej ulicy Arbackiej głównej arterii zabytkowej, handlowej dzielnicy Arbat, o której pierwsze wzmianki znajdujemy już w piętnastowiecznych kronikach — odchodzi w lewo nieszeroka, spokojna ulica Wiesnina. Dawniej nosiła nazwę Dienieżnego Pierieułka; może tutaj właśnie znajdowały się jakieś bankowe kantory niegdysiejszego kupieckiego Arbatu?

Dzisiejsza ulica Wiesnina jest cicha, spowita zielenią, wśród której przysiadły stare, parterowe lub jednopiętrowe domostwa z rozległymi ogrodami. Czasem na miejscu takiej dawnej posesji wznosi się kilkupiętrowa, dostatnia, secesyjna kamienica, zwykle stojąca w głębi zadrzewionego skweru.

Arbat oblany jest zewsząd morzem nowoczesnej Moskwy, ale tutaj nie dociera zgiełk wielkiej metropolii. Ba, nawet ulica Arbacka wydaje się być odległa. Jakby czas zatrzymał się w biegu nad ulicą Wiesnina, nad dziesiątkami rozciągających się wokoło podobnych uliczek, placyków i zaułków, które tak wielkim sentymentem darzą moskwianie i o których tak pięknie potrafi śpiewać Bułat Okudżawa...

O kilkaset metrów stąd pną się pod niebo przeszklone ściany wieżowców z Prospektu Kalinina, a tu na dawnym Dienieżnym Pierieułku, krzepko stoi sobie drewniane domostwo z sześciokolumnowym portykiem doryckim — pałacyk nie pałacyk z pierwszych dziesięcioletni XIX wieku — jednak z tych budowli, jakie rosyjscy architekci wznosili pod kierownictwem Osipa Beauvais po wielkim pożarze Moskwy w 1812 r. Jeszcze moment, a z bocznej uliczki wytoczy się kolaska niosąca Naszę Rostową, zadudnią na drewnianym chodniku ciężkie kroki Pierre'a Bezuchowa. Ale nie: w starym, zabytkowym „domu Poliwanowa", przy którym nasłuchuję ech dawnej Rosji, zamieszkała na dobre współczesność: właśnie tutaj ma swoją siedzibę „Wszechrosyjski Klub Szachowy".

Sąsiadująca z „domem Poliwanowa" posesja oznaczona numerem 9/5 to stojąca na rogu ulic Wiesnina i Łunaczarskiego wysoka, pięciokondygnacyjna kamienica. Tutaj właśnie, na czwartym piętrze, w mieszkaniu nr 1 żył i pracował w latach 1923—1933 pierwszy radziecki ludowy komisarz oświaty, znany pisarz, eseista, dramaturg, działacz społeczny, bliski współpracownik Lenina — Anatolij Wasilijewicz Łunaczarski. Informuje o tym umieszczona przy wejściu kamienicy pamiątkowa tablica wykonana z marmuru. Tutaj też, w dawnym mieszkaniu Łunaczarskiego, urządzono stałą ekspozycję dotyczącą życia i twórczości pierwszego radzieckiego ministra kultury, jednego z członków pierwszego rządu powołanego do życia przez Włodzimierza Lenina.

Piastował Łunaczarski swój urząd przez dwanaście lat, aż do 1929 r. sterując nawą kultury i sztuki po burzliwych falach Rewolucji i po rozkołysanych porewolucyjnych latach. Zakres obowiązków miał ogromny: podlegały mu nauka, szkolnictwo wszystkich stopni i typów, odpowiedzialny był za sprawy oświaty dla dorosłych, a przy tym wszystkim sprawował opiekę nad literaturą, plastyką, teatrem itd. „W kompetencjach resortu, którym kierował — pisze Leszek Turek, autor wstępu do polskiego wydania „Pism wybranych" Anatolija Łunaczarskiego — znalazła się cała dziedzina zjawisk mieszczących się w ramach szeroko rozumianego pojęcia kultury duchowej. Atoli znaczenie piastowanego przezeń stanowiska nie wynikało tylko z szerokiego zakresu kompetencji, lecz również z sytuacji historycznej. Rewolucja po spełnieniu funkcji burzących stanęła wobec zadań pozytywnych, których urzeczywistnienie powinno doprowadzić nie tylko do podniesienia poziomu kulturalnego mas, ale także w ogóle do stworzenia nowej kultury. Trzeba więc było określić, w oparciu o jakie tradycje, jakimi drogami i przy użyciu jakich środków kulturę tę należy tworzyć."

Nie można było dokonać trafniejszego wyboru na tak rozumianą funkcję ludowego komisarza oświaty. Anatolij Łunaczarski był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, o ogromnej kulturze, bywałym w świecie. Od młodości związany był z działalnością rewolucyjną. Wreszcie, co jest bardzo istotne, nie miał duszy doktrynera, jego poczynania cechowało wielkie zrozumienie dla spraw sztuki, również dla jej najbardziej nieraz skrajnie eksperymentatorskich przejawów.

Urodził się 23 listopada 1875 r. w Połtawie, w rodzinie urzędniczej o tradycjach rewolucyjnych. Gimnazjum ukończył w Kijowie, studia filozoficzne odbywał w Szwajcarii, w Zurychu. Już w wieku siedemnastu lat rozpoczął działalność polityczno-propagandową wśród robotników. Warto przy okazji odnotować, że zainteresowanie marksizmem zawdzięczał — jak sam o tym wspomina w autobiografii — niewymienionym z nazwiska „kilku polskim towarzyszom", z którymi zetknął się w latach gimnazjalnych. Związany z ruchem bolszewickim, był kilkakrot nie aresztowany i zsyłany, a mimo to po wyjściu na wolność nie zaprzestał działalności rewolucyjnej. M. in. na wezwanie Lenina współredagował na emigracji, w Genewie, na początku wieku, bolszewickie gazety „Wpieriod" i „Proletarij". Po rewolucji 1905 r. odszedł na pewien czas od marksizmu wiążąc się z grupą Bogdanowa i propagując idee tzw. „bogostroitielstwa", aby w latach I wojny światowej znowu zbliżyć się do Lenina i wreszcie, w 1917 r. ponownie wstąpić do SDPRR(b). Stało się to ku wielkiej satysfakcji Lenina, który zawsze bolał nad utratą człowieka i współpracownika tej miary co Łunaczarski.

Zażywnej postury, lekko łysiejący, z charakterystycznymi wąsami i spiczastą, niewielką bródką, z nieodłącznym pince-nez na nosie, zawsze pełen pasji i zaangażowania wobec tego wszystkiego, co robił, stanowił Łunaczarski już na pierwszy rzut oka bardzo charakterystyczny przykład rewolucyjnego rosyjskiego inteligenta swej epoki. Mawiał zresztą o sobie z humorem, że jest „bolszewikiem wśród inteligentów" i „inteligentem wśród bolszewików". Lenin określał go nieraz po prostu jednym słowem „artysta". Może między innymi z uwagi na ów nieustanny, „artystyczny" zapał cechujący każde działanie Łunaczarskiego.

Jeden z badaczy twórczości Łunaczarskiego pisze, że „życie tego człowieka porównywano ze świecą zapaloną z obu końców". Nic dziwnego. W swym 58-letnim życiu Anatolij Łunaczarski pomijając już sprawę jego niezwykle aktywnej działalności politycznej i organizacyjnej, napisał ponad dwa tysiące artykułów krytycznych, czterdzieści sztuk teatralnych, wiele wierszy i kilka scenariuszy. Bibligrafia prac pisarza — wydanych w ZSRR — zawiera (jak dotąd, bo wciąż odnajduje się nowe materiały) około 4300 pozycji. Ba, ale pierwszy ludowy komisarz oświaty pracował nieraz po szesnaście godzin na dobę.

Anatolij W. Łunaczarski. Zdjęcie z 1923 r.

Jak oceniali osobowość Łunaczarskiego inni pisarze, ci spoza granic Związku Radzieckiego? Bernard Shaw, w czasie swej wizyty w Moskwie w 1931 r, stwierdził m. in.: „Przed tygodniem Łunaczarski był dla mnie bardzo znanym nazwiskiem, ale dziś jest on dla mnie żywym człowiekiem. Odkryłem w nim nie tylko członka partii komunistycznej, lecz także coś, co mogą dać mi jedynie Rosjanie — umiejętność zrozumienia i ocen mych własnych utworów z taką głębią i subtelnością, której, muszę przyznać, nigdy nie widziałem w Europie Zachodniej".

Pisał Łunaczarski prace o Dantem i o Prouście, o Majakowskim, Victorze Hugo i o Tołstoju, o Heinem, Goethem, Vagnerze, Gorkim i Spinozie; nie zdążył ukończyć biografii o Franciszku Baconie, śmierć stanęła na drodze do napisania obszernego dzieła o Leninie, z zamiarem stworzenia którego nosił się przez wiele lat i przez długi okres gromadził do niego materiały. „Kino na Zachodzie i u nas", „Myśli o sporcie", „Sztuka jako rodzaj zachowania się człowieka', „Teatr i rewolucja" — to tylko kilka tytułów prac, jakie opublikował Łunaczarski na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Stanowią one niewielki zaledwie wycinek jego spuścizny pisarskiej i same tylko tytuły mogą świadczyć o rozległości tematyki, jaką podejmował. Nic dziwnego, że stulecie urodzin pisarza, 23 listopada 1975 r. zostało uznane za jedną z dat jubileuszowych UNESCO.

•

Powróćmy jednak do pierwszych dni Rewolucji, kiedy wszystko musiało być nowością i gdy trzeba było kreślić zupełnie nowe plany na przyszłość, również w dziedzinie kultury. W numerze 260 „Krasnoj Gazety" z 7 listopada 1928 r., Anatolij Łunaczarski opublikował jedno ze swych licznych wspomnień o Leninie, mówiące zarazem o narodzinach Ludowego Komisariatu Oświaty. Oto fragment:

„Działo się to w dniu formowania pierwszej Rady Komisarzy Ludowych: Powiedziano mi, że KC Partii, wybierając skład rządu, postanowił powierzyć mi Ludowy Komisariat Oświaty. Wiadomość była podniecająca, a nawet przerażająca ogromem odpowiedzialności, który w ten sposób składano na moje barki.

Znacznie później, zupełnie przypadkowo (wszyscy byliśmy w owym czasie zawaleni różnorodną pracą), znów na którymś z korytarzy Smolnego, spotkałem Włodzimierza Iljicza. Skinął na mnie z poważnym wyrazem twarzy:

»Anatolu Wasiliewiczu, muszę wam powiedzieć dwa słowa. Nie mam czasu, aby dawać wam instrukcję w zakresie spełniania waszych nowych obowiązków, nie mogę zresztą powiedzieć, abym miał jakąś całkowicie przemyślaną koncepcję na temat pierwszych kroków rewolucji w dziedzinie oświaty. Jest oczywiste, że bardzo wiele trzeba będzie zupełnie zburzyć, przebudować, puścić nowymi torami. [...] Ale ze wszystkimi referatami, tak mi się przynajmniej wydaje, należy zachować najwyższą ostrożność. Sprawa jest bardzo skomplikowana. Jasne jest tylko jedno; należy zatroszczyć się o poszerzenie dostępu na wyższe uczelnie dla szerokich mas, przede wszystkim dla młodzieży proletariackiej. [...] Wielką wagę przywiązuję do bibliotek. Powinniście sami zająć się tą sprawą. Zaproście bibliotekarzy. W Ameryce robi się bardzo wiele dobrego w tym zakresie. Książka jest ogromną siłą. Pęd do niej w wyniku rewolucji bardzo się zwiększy. Trzeba zapewnić czytelnikom zarówno wielkie czytanie, jak i ruchliwość książki, która powinna sama docierać do czytelnika. Trzeba będzie do tego zaprząc również pocztę, zorganizować najrozmaitsze formy ruchomych bibliotek. Dla całego naszego ludu, którego liczba ludzi piśmiennych będzie rosnąć, najprawdopodobniej książek wam zabraknie i jeśli nie zwiększy się wielokrotnie jej obiegu, zacznie się głód książki.

Mam nadzieję, że wkrótce znajdę chwilę czasu, aby jeszcze raz z wami o tym porozmawiać i zapytać o to, jakie posiadacie plany pracy i których ludzi możecie do niej pozyskać. Sami wiecie, jakie teraz mamy czasy: nawet na najważniejszą sprawę można z trudem wykroić co najwyżej 10 minut.

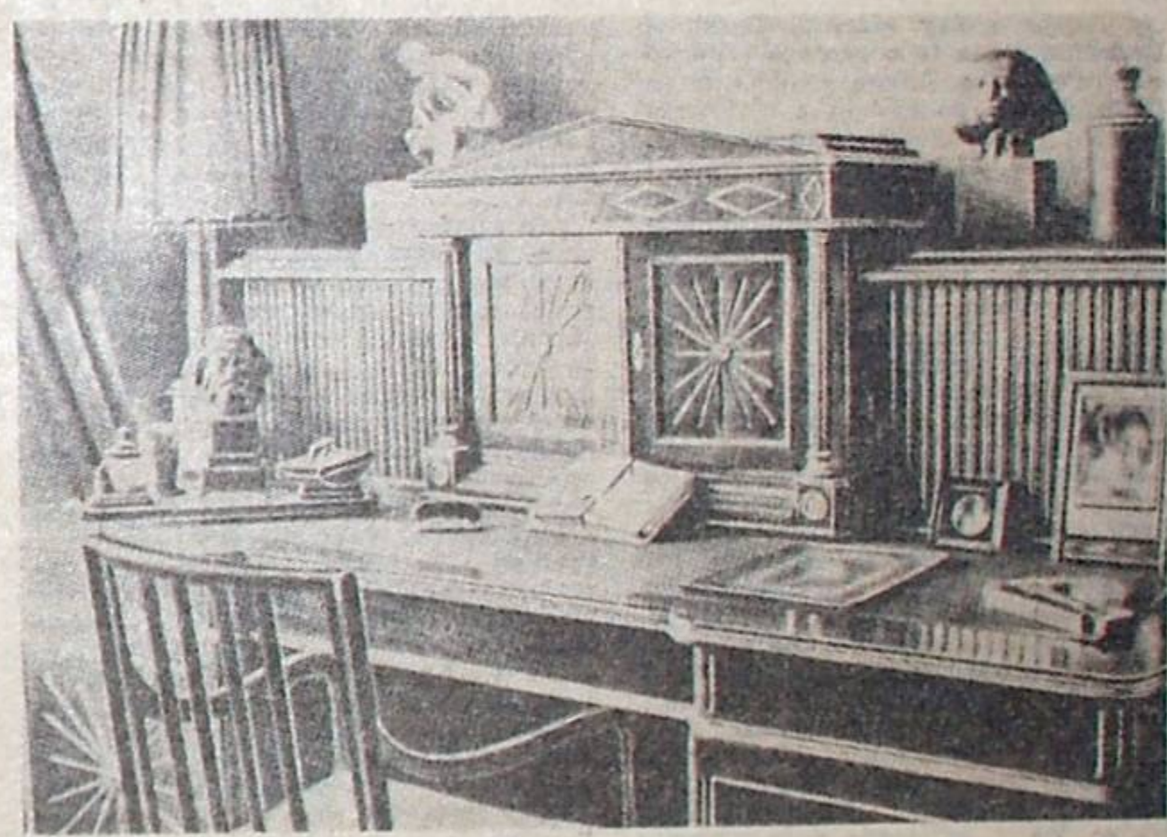

Fragment gabinetu A. W. Łunaczarskiego

Fot. J. Polski

Dokończenie na str. 8

Pierwszy radziecki minister kultury

Dokończenie ze str. 7

Życzę powodzenia. Odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo, lecz jeśli w ślad za nim nie odniesiemy jeszcze całego szeregu dalszych zwycięstw, będzie źle. Walka naturalnie jeszcze się nie skończyła i znajduje się dopiero w swym początkowym stadium.«

Włodzimierz Iljicz mocno uścisnął mi rękę i swym twardym, szybkim krokiem ruszył do któregoś z licznych wówczas gabinetów, gdzie wirowały i powstawały nowe myśli i nowa wola dopiero co zrodzonego proletariackiego państwa."

•

Przestronna klatka schodowa, ciasna winda wolno wznosząca się w otwartym, okratowanym na „sposób francuski" kanale, wreszcie — ostatnia kondygnacja i przycisk dzwonka, który należy całkiem „prywatnie", jak za dawnych lat, gdy żyli tu użytkownicy mieszkania, nacisnąć, aby zostać wpuszczonym do wnętrza. W wąskim, ciemnawym korytarzyku, zaraz naprzeciwko drzwi głównych, wejście do gabinetu, w którym pracował Anatolij Łunaczarski. Na prawo, pod oknem, masywne neoklasycystyczne biurko z mahoniu, a na nim otwarty kalendarz biurowy, budzik, pince-nez — pozostawione jakby przed chwilą przez właściciela — fotografia żony pisarza, masywny komplet do pisania zwieńczony rzeźbą głowy Marksa. Oszklone szafy biblioteczne tego samego typu co biurko. Pod inną ścianą kanapa obita ciemnozielonym gobelinem z motywem winorośli; naprzeciwko kanapy mały, okrągły stolik, a na nim świecznik i kolekcje minerałów w oszklonej gablotce. Koło szafy bibliotecznej niewielka serwantka; na niej marmurowa rzeźba Lenina. Lenin siedzi podany nieco do przodu, z książką w opuszczonej ręce: jakby zamyślił się nad przeczytanym przed chwilą zdaniem, albo jakby szykował się do dyskusji z jakimś rozmówcą. W tym gabinecie Łunaczarski pracował zazwyczaj we wczesnych godzinach rannych, później wyruszał do pracy lub na jedno z licznych spotkań artystycznych, w których zawsze aktywnie uczestniczył. Jeden ze współczesnych artystów ułożył wtedy następujący epigram poświęcony pierwszemu ludowemu komisarzowi oświaty: „Urodził się uprzednio jako przedmowa i wygłosił słowo wstępne".

Właśnie jeden z afiszów (wśród wielu afiszów i fotografii), eksponowanych w innym pokoju mieszkania—muzeum Anatolija Łunaczarskiego, stanowi jakby najlepsze potwierdzenie treści powyższego epigramu. Zapowiada on mianowicie wieczór autorski, a raczej dysputę literacką — „Dysputa: poezja mająca za temat przemysł". (Dokładczyk — Władimir Majakowskij, opponent — A. W. Łunaczarskij.)" Wśród tez dysputy takie oto: „sztuka czy przemysł?", „teoria pracy nad słowem", „praktyka opracowywania słów", „kłamstwo o futuryzmie", „prawda o futuryzmie".

Łunaczarski nie był przeciwnikiem awangardy, popierał i futurystów i proletkultowców, ale nawoływał także obie strony do rozwagi. Zapobiegał w ten sposób bardzo wielu nieprzemyślanym, a mogącym okazać się nieodwracalnymi krokom w dziedzinie kultury. Bardzo charakterystyczna dla tej jego postawy jest rozmowa z Leninem na temat oblicza teatru rewolucyjnego, kiedy to w 1918 r. proletkultowcy bardzo silnie zaatakowali tradycyjny Teatr Aleksandryjski.

„Ponieważ byłem bliski proletkultu — pisze w jednym ze swych wspomnień ludowy komisarz oświaty — a nie bardzo zgadzałem się z żądaniami skończenia z »gniazdem sztuki reakcyjnej«, postanowiłem zasięgnąć rady u samego Włodzimierza Iljicza. [...] A więc zjawiwszy się w gabinecie Włodzimierza Iljicza [...] powiedziałem mu że zamierzam uczynić wszystko, aby zachować najlepsze teatry kraju. Dodałem przy tym; »Na razie, rzecz jasna, repertuar ich jest przestarzały, ale zaraz oczyścimy go z wszelkiego brudu. Publiczność, i to właśnie proletariacka, chętnie tam chodzi. Zarówno ta widownia, jak i same czasy zmuszą nawet najbardziej konserwatywne teatry do stopniowego zmieniania się, Myślę, że te zmiany nastąpią względnie szybko. Brutalną ingerencję uważam za niebezpieczną, bo w tej dziedzinie nie mamy jeszcze niczego w zamian.«

Włodzimierz Iljicz wysłuchał mnie uważnie i powiedział, abym trzymał się tej właśnie linii, bylebym nie zapominał również o podtrzymywaniu tego nowego, co rodzi się pod wpływem rewolucji. [...] Pośpieszyłem zapewnić Włodzimierza Iljicza, że za wszelką cenę postaram się uniknąć podobnego błędu. »Nie wolno jedynie dopuścić — powiedziałem — aby psychopaci i szarlatani, którzy teraz dość licznie starają się wskoczyć na nasz statek, zaczęli przy pomocy nowych sił odgrywać niegodną i szkodliwą dla nas rolę.«

Włodzimierz Iljicz powiedział na to dosłownie, co następuje: »Co do psychopatów i szarlatanów macie całkowitą rację. Klasa zwycięzców, i to w dodatku taka, której własne siły inteligenckie są na razie nieliczne, nieuchronnie staje się ofiarą takich elementów, jeśli się od nich nie oderwie — jest to w pewnym stopniu — dodał Lenin ze śmiechem — nieuniknionym wynikiem, a nawet oznaką zwycięstwa.«

»To znaczy — powiedziałem — możemy rozmowę zreasumować następująco: Wszystko co w starej sztuce jest mniej lub więcej uczciwe, należy ochronić. Sztuka nie muzealna lecz tworzona lub odtwarzana — teatr, literatura, muzyka — winna być poddana pewnemu naciskowi w stronę jak najszybszej ewolucji, ma wychodzić naprzeciw nowym potrzebom. Do nowych zjawisk odnosić się w sposób zróżnicowany. Pozwolić im zdobywać realnymi zasługami artystycznymi coraz wybitniejsze miejsce. W tym względzie, o ile to możliwe, pomagać im.«

Na to Lenin odparł: »Uważam, że jest to dość precyzyjna formuła. Postarajcie się wyjaśnić ją naszym ludziom, zresztą w ogóle publiczności, w waszych wystąpieniach i artykułach.«

»Czy mogę się przy tym na was powoływać?« — zapytałem.

»Po co? Nie usiłuję przecież uchodzić za specjalistę w kwestiach sztuki. Skoro jesteście komisarzem ludowym, sami powinniście mieć wystarczający autorytet.«"

•

Anatolij Łunaczarski po swoim odejściu w 1929 r. z urzędu Ludowego Komisarza Oświaty był m. in. dyrektorem Instytutu Literatury i Sztuki Akademii Komunistycznej, a w sierpniu 1933 r, otrzymał nominację na ministra pełnomocnego i nadzwyczajnego w Hiszpanii. Nie zdążył jednak wręczyć listów uwierzytelniających; 26 grudnia 1933 r. zmarł w Mentonie na południu Francji (gdzie przebywał na rekonwalescencji) na zawał serca.

W mieszkaniu przy ulicy Wiesnina pozostały niedokończone prace i materiały do książki o Leninie, do której napisania nie zdążył zasiąść. Pozostał głos Łunaczarskiego nagrany na płyty gramofonowe.

W salonie jego mieszkania, szczególnego wyrazu nabierają odtwarzane z płyty zdania pisarza o potędze słowa i o potrzebie sztuki w życiu nowego społeczeństwa.

Mirosław Derecki

Kamena str. 8

PO FESTIWALU TYSIĄCA ZESPOŁÓW

PREZENTACJĄ laureatów w Chełmie, mieście manifestu PKWN, zakończyła się — trwająca dwa lata — wielka impreza kulturalna Ogólnopolski Festiwal Teatrów Amatorskich, zorganizowany dla uczczenia 35-lecia Polski Ludowej. Festiwal rozpoczął się w 1978/1979 r. a jego pierwszym etapem były przeglądy gminne, miejsko-gminne i dzielnicowe. Najlepsze zespoły zakwalifikowano do drugiego etapu — przeglądów wojewódzkich, a zwycięzcy tego etapu startowali z kolei w przeglądach międzywojewódzkich. Najlepsze zespoły z tej konfrontacji wystąpiły w pokazach centralnych, które odbyły się m. in. w Krakowie, Gdańsku, Puławach, Piotrkowie Trybunalskim i Zgorzelcu.

Festiwal stworzył możliwość szerokiej prezentacji dorobku teatralnego ruchu amatorskiego. W imprezie udział wzięło ponad 1 tys. zespołów i prawie 10 tys. wykonawców. Dali oni przeszło 2,9 tys. spektakli, które obejrzało przeszło 230 tys. osób. Najwięcej — ponad 300 placówek i prawie 2 tys. wykonawców — wystąpiło w kategorii teatrów poezji. Drugą pod względem liczby — 280 zespołów i 1,7 tys. wykonawców — stanowiły teatry lalkowe i dziecięce. W przeglądach teatrów dramatycznych oraz kabaretów i zespołów estradowych wystąpiło ponad 120 zespołów. Ponadto swoje umiejętności prezentowali wykonawcy prawie 90 teatrów jednego aktora, przeszło 30 teatrów publicystycznych, 10 teatrów pantomimy i ruchu. Festiwal stał się więc dobrą sposobnością do skonfrontowania poszukiwań i zdobycia nowych doświadczeń. Służyły temu także towarzyszące występom spot-

OKO-LICE SZTU-KI

Przypadek Markowskiego

DZIEWIĘĆ lat temu Bogdan Markowski skończył studia rzeźbiarskie w wyższej szkole plastycznej w Gdańsku, a potem wrócił do Zamościa, gdzie oprócz rodziny miał, przynajmniej we własnym mniemaniu, co nieco do zrobienia. Skupieni wokół średniej szkoły artystycznej malarze czy graficy funkcjonowali jakoś w Zamościu od pierwszych lat powojennych, w nikłym przecież stopniu wpływając na tzw. klimat kulturalny miasta, czy też na zewnętrzny jego wygląd. Również w obszarze sztuki samej, choćby związanej z Lubelszczyzną, ich nazwiska były mało widoczne — może poza Lucjanem Pakulskim, pierwszym dyrektorem PLSP, Marianem Iwańciowem, Stanisławem Surdackim oraz Władysławem Żurawskim, który jednak, po przypadkowym zabłąkaniu się do Zamościa, już w latach pięćdziesiątych zaczął wycofywać się z życia artystycznego lekceważony jako duchowy uczeń Skoczylasa, co na pewno pogłębiało wewnętrzny dramat człowieka nagrodzonego niegdyś (1931) srebrnym medalem na Międzynarodowej Wystawie Grafiki w Padwie i do wybuchu drugiej wojny światowej eksponującego swoje prace we Włoszech, Danii, Hiszpanii, Bułgarii, Niemczech, USA i Francji, a więc w takiej skali, o jakiej nie mógł chociażby marzyć żaden z plastyków mieszkających w Zamościu.

Po powrocie z Gdańska Markowskiemu udało się narzucić tutejszej młodzieży artystycznej przekonanie, że nawet w warunkach stosunkowo niewielkiego miasta, dorabiającego się dopiero filii BWA, można coś sensownego zrobić, przede wszystkim zaś — że wbrew wszystkiemu należy trzymać się pola sztuki: malować, rzeźbić, wystawiać, spotykać się i rozmawiać o tych sprawach, które skutecznie bagatelizuje życie codzienne, czyli etatowe. Wtedy właśnie zaczęły pojawiać się w prasie informacje o aktywności „Grupy Zamojskiej", działalność wystawienniczą sprawą Włodzimierza Wasiluka), a na wokandzie dnia znów stanęła kwestia odzyskania pracowni plastycznych, istniejących od dawna, lecz wykorzystywanych np. przez kominiarzy. Zapewne, za inicjację tego ruchu w środowisku nie można „obwiniać" wyłącznie Markowskiego, choć z drugiej strony trudno wyobrazić sobie, aby doszło do wiadomej sytuacji bez udziału tej indywidualności.

Markowski posiadał znaczny zmysł organizatorski (którego do dziś nie stracił), ale o zyskaniu przezeń pewnego autorytetu w Zamościu zadecydowało chyba coś innego: fakt, że nieustannie uprawiał twórczość rzeźbiarską, że biegając po urzędach dla dobra ogólniejszej sprawy, znajdował czas na zamknięcie się w swojej piwnicy, gdzie kształtował i nadawał sens twardym klocom cisu, orzecha tureckiego czy włoskiego, które później trafiały na wystawy ogólnopolskie, a także za granicę np. do Barcelony. Były to formy zwarte w budowie, powściągliwe w ekspresji, oznaczające realne rzeczy czy zjawiska w sposób liryczny, a przy tym nie wypierające się właściwego im naturalnego rodowodu. Markowski z szacunkiem podchodził do drewna, podejmował z nim swoisty dialog, nie maltretował cieciami niszczącymi bieg słoi czy „interpretującymi" zarubienia w sposób niezgodny z biologicznym porządkiem rzeczy. Można powiedzieć, że powstające wówczas rzeźby były wspólnym dziełem natury i człowieka, który wychowując się niegdyś w pejzażu pełnym lasów i jezior, dostrzegł w jego rytmie wewnętrznym suwerenną siłę.

Po raz pierwszy w ramach wystawy indywidualnej pokazał Markowski te prace w zamojskim BWA (1971), a następnie w Lublinie (1973). Ostatecznie, chcąc nie chcąc, znalazł niezłe miejsce w historii kultury artystycznej Zamościa. Zaraz potem, mniej więcej trzy i pół roku temu, spakował manatki i wraz z żoną Grażyną, malarką, opuścił miasto, aby zainstalować się w Lublinie: zamojskie środowisko plastyczne wróciło do nijakiej normy, z której obecnie wyzwala się jednak.

Nie wnikając głębiej w motywy decyzji rzeźbiarza, tak osobiste (urodził się w Lublinie w 1945 roku), jak „ogólnozamojskie" (brak perspektyw na uzyskanie przyzwoitej pracowni i takiegoż mieszkania), powiedzmy tylko krótko, że przypadek Markowskiego rozwinął się według typowego scenariusza: pełny dobrych chęci i uzdolniony młody artysta wraca do niewielkiego miasta, rzuca się w tzw. wir działalności organizacyjno-twórczej, przełamuje jedne przeszkody, potyka się na drugich, jego partnerzy dostają tymczas-

kania szkoleniowe uczestników, instruktorów i działaczy kulturalnych.

Poza teatrami dramatycznymi od pewnego czasu coraz większym zainteresowaniem cieszą się małe formy, a więc różnego rodzaju teatry poezji, publicystyczne, kabarety, teatry lalkowe, jednego aktora. Te formy w ruchu amatorskim zrodziły się spontanicznie, co dotyczy zwłaszcza teatrzyków poezji. Coraz większą popularność zyskuje sobie w ostatnich latach teatr publicystyczny, sięgający najczęściej po tworzywo z otaczającej nas współczesności.

Przebieg festiwalu teatrów amatorskich wykazał, że działalność społecznego ruchu w tej dziedzinie jest wciąż żywa i ma wiele możliwości rozwoju, zwłaszcza jeśli chodzi o małe formy. W sumie impreza spełniła oczekiwania organizatorów: Towarzystwa Kultury Teatralnej oraz Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury oraz ruchu związkowego i organizacji młodzieżowych. Celem festiwalu było dalsze ożywienie tak ważnej dziedziny w całokształcie działalności społeczno-kulturalnej.

F. M.

Teatr im. J. Osterwy gra z powodzeniem dowcipną komedię Zdzisława Skowrońskiego „W czepku urodzona" w reżyserii Józefa Słotwińskiego, z Niną Czerską w roli głównej. Na zdjęciu: Krystyna Torończyk, Jan W. Krzyszczak i Barbara Wronowska

Fot. Z. Zugaj

sem zadyszki, a publiczność patrzy spokojnie, co z tego wyniknie... W końcu wokół człowieka narasta mur obojętności, inkrustowany nawet pewnym zniecierpliwieniem, więc artysta pakuje manatki...

W Lublinie Markowski zyskuje dużą pracownię, tyle że na 11 piętrze wieżowca, co okazuje się bardzo kłopotliwe dla kogoś, kto rzeźbi już nie w drewnie, lecz w kamieniu: narzutowym oraz granicie. Sytuację ratuje po trosze budo-pracownia w Zwierzyńcu, dokąd artysta jeździ od czasu do czasu oraz plenery we Wdzydzach Kiszewskich, gdzie Markowski pracuje okazyjnie razem z kolegami z Wybrzeża. Próby ulokowania się z rzeźbą w pustym baraku, popierane przez wojewódzkie władze kulturalne, kończą się niepowodzeniem. Ale Markowski jest pełen, jak to się mówi, optymizmu i kuje kamienie skutecznie: jego dzieła eksponowane są na ważnych wystawach ogólnopolskich w Katowicach, Poznaniu, Krakowie. W 1976 roku ma ekspozycję indywidualną w warszawskim Klubie Artystów Plastyków, kilka miesięcy temu wygrywa wraz z żoną konkurs na martyrologiczno-wojenny pomnik w Lubartowie. Odsłonięty w lipcu monument okazuje się jedną z najlepszych tego typu realizacji na Lubelszczyźnie, mimo, że Markowski właściwie nie „robi w pomnikach". Przy okazji artysta zdobywa kolejne doświadczenie społeczne: zleceniodawca kwestionuje nagle wysokość honorarium. W tzw. międzyczasie Markowski urządza trzy kolejne wystawy indywidualne: w Łodzi, Szczecinie oraz Lublinie, wszystkie w 1979 roku.

Ta ostatnia otwarto na początku października na dziedzińcu Muzeum Okręgowego. Jej treścią są ludzkie perypetie z losem, choć tytuły poszczególnych prac — „Dyskobol", „Astronauta", „Oskarżyciel", „Podróż" — zdają się podpowiadać, że mamy do czynienia z rzeźbą po trosze portretową. Owszem, znajdujemy w tych pracach symboliczne rekwizyty i zarysy twarzy, ale jakże mocno powstrzymuje je przed autodefinicją twarda materia granitu.

Te rzeźby Markowski zamierzał pokazać w stałej galerii przy Krakowskim Przedmieściu, której pomysł sformułował kilkanaście miesięcy temu, mając na uwadze coraz liczniejsze środowisko rzeźbiarskie Lublina. Instytucjonalny adresat zainteresował się sprawą i odłożył ją ad acta...

Wszystkie te przedsięwzięcia kosztowały artystę tyle, że obecnie myśli o przerzuceniu się na rzeźbę kameralną, taką, jaką można wykonać w pracowni na 11 piętrze, przewieźć małem fiatem, postawić na wystawie sklepowej w dobrym punkcie miasta. Jakieś zniechęcenie się kryje w takim myśleniu, nieprawdaż? A może ciąg dalszy pewnego sc[illegible]

LK

Listy do kameny

TAJEMNICZE KULE

Szanowny Panie Redaktorze!

W kilku numerach „Kameny" ukazały się ostatnio artykuły na temat niezidentyfikowanych zjawisk, potocznie nazywanych UFO. Problem ten coraz częściej trafia na łamy prasy. Uważam to za nieuniknione, gdyż każda działalność zmierzająca do odkrycia czegokolwiek styka się z ortodoksyjnym stanowiskiem naukowców. Nie tylko zresztą ich, bo i dużej części społeczeństwa. Zapomina się przy tym, że tak samo było i w ubiegłych wiekach. Koncepcja heliocentryczna Kopernika doczekały się ciężkiego ciosu Kościoła, genialne teorie Einsteina też początkowo były całkowicie niezrozumiałe nawet dla innych matematyków.

To, co obecnie pojawia się na Ziemi, nazywane potocznie Zjawiskami Niezidentyfikowanymi, być może jest przejawem inteligencji innej niż ludzka. Dlatego, że jest to niezrozumiałe i na razie niepojęte mamy pomijać milczeniem, czy też może raczej za wszelką cenę starać się choć w przybliżeniu poznać i zrozumieć genezę tych zjawisk?

Wielu publicystów wyraża pogląd, że sam problem UFO i podobne dostały się na łup i żer osób do tego nie powołanych: UFOfilów, maniaków itp., że tematem tym powinni zajmować się naukowcy, nie amatorzy. Chciałbym tu wyrazić swoje skromne spostrzeżenie, że w badaniu tych zagadnień właściwie wszyscy badacze, nawet legitymujący się tytułami naukowymi, są zensu stricte amatorami, gdyż jak dotąd nie wiadomo w jakim aspekcie należy te sprawy rozpatrywać. I tak astronom będzie amatorem w badaniach psychologicznych czy socjologicznych i vice versa. Dlatego też słuszne jest, wobec stanowiska publikowania niektórych wypowiedzi amatorów-badaczy, jak np. p. Witolda Wawrzonka, którego koncepcje znam nie tylko z łamów „Kameny", ale i z wielokrotnych jego wystąpień w telewizji. Można się spierać o to, czym są w rzeczywistości te zjawiska i skąd pochodzą, jednak fakt podjęcia tego rodzaju badań przez tak poważne instytucje naukowe, jak Akademia Nauk Związku Radzieckiego, liczne placówki uniwersyteckie na świecie i przez poszczególnych poważnych naukowców — w jakiś sposób nobilituje wagę tych zagadnień. Czy my, Polacy, zawsze mamy się więc „w ogonie" nauki?

Podniesienie ogólnego poziomu wykształcenia społeczeństwa polskiego stworzyło podatny grunt do poznania wielu ciekawych zagadnień nie tylko na gruncie humanistyki, ale i zagadnień związanych z techniką i kosmosem. Temu należy przypisać fakt błyskawicznego wykupywania wszelkich nowości traktujących o Kosmosie i Zjawiskach Niezidentyfikowanych, przede wszystkim tych, które te zagadnienia traktują poważnie, nie w konwencji utworów typu science-fiction.

Od wielu lat zajmuję się tą, początkowo całkowicie niepopularną, tematyką, przez mniej więcej okres czasu badając zagadnienie tylko z własnej ciekawości i dla własnej satysfakcji. Jestem również w tej dziedzinie „amatorem" mimo wykształcenia technicznego. Niezależnie od tego moje opracowania poszczególnych zagadnień wzbudziły nieukrywane zainteresowania wielu naukowców, którzy się z nimi zapoznawali niejako „prywatnie". Poza krótkimi telewizyjnymi publikacjami na niektóre z tych tematów, niczego dotąd nigdzie nie publikowałem. Zwracam dlatego się do was, że wasze czasopismo uznało społeczną potrzebę drukowania takich wypowiedzi.

Przesyłam przy niniejszym liście coś w rodzaju krótkiego artykułu na temat, moim zdaniem, znacznie ciekawszy niż nieuchwytne UFO, traktujący o tajemniczych kulach (może z Kosmosu?), które aktualnie badane są przez naukowców amerykańskich i radzieckich. O ile mi wiadomo, w prasie polskiej pojawiały się na ten temat tylko fragmentaryczne wzmianki, jednakże bez jakichkolwiek wniosków co do genezy tych kul i ich działania na Ziemi.

Jeżeli was to zainteresuje — a mam dane przypuszczać, że tak, prosiłbym o opublikowanie tego tekstu.

★

W ostatnich czasach, zwłaszcza przy końcu sezonu „ogórkowego", nad Polską rozerwała się bania z UFO. Okazało się, że „nie jesteśmy gorsi" od innych i mamy swoje spotkania Drugiego Trzeciego Stopnia. Zwłaszcza dużo szumu i kontrowersyjnych opinii sprawiło zjawisko rozsypanego meteoru, który przeleciał nad Polską w dniu 20 sierpnia, a był przez wielu mylnie uważany za rój UFO. Więcej do myślenia i wyciągania wniosków dają niezaprzeczalnie niezidentyfikowane obiekty obserwowane w paru następnych dniach w rejonie Helu i Sztumu.

Można się spierać o to, jaka jest geneza zjawisk określanych nazwą UFO, czym one są w rzeczywistości i w jaki sposób pojawiają się na naszym niebie. Zjawisk tych nie sposób przewidzieć, ani ich doraźnie — w momencie obserwacji — badać; tak więc wiele opinii o nich jest sprzecznych i prowadzi do mylnych wniosków i hipotez.

Na przestrzeni ostatnich kilku lat, ściślej: od 1972 r., na kuli ziemskiej pojawiło się coś zupełnie nowego, zjawiska których nie można podciągnąć pod kategorię Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, mimo iż są bardziej tajemnicze niż klasyczne UFO. Są to kule metalowe, o różnych średnicach, od 6 do 35 cm, które nie wiadomo skąd pojawiają się na powierzchni Ziemi. Kule te znajdowano już w Australii, Afryce, USA, Argentynie oraz na niedawno powstałej wyspie na Morzu Kaspijskim w pobliżu Baku. Wyspa ta powstała wskutek niedawnego wybuchu wulkanu błotnego i na jej powierzchni, w momencie znalezienia przez geologów tych kul, nie istniało nic żywego.

Kule te nie stanowią jednolitej całości. Znalezione koło Baku, o średnicy od 6 do 7 cm, miały skorupę ze stali, a w środku po kilkaset łabędzi złożonych z tlenku glinu i magnetytu. Dolnia uczonych radzieckich co do pochodzenia ich była zgoła niezwykła. Stwierdzono, że nie mogą to być naturalne twory geologiczne, ani też wytwór jakiejkolwiek cywilizacji ziemskiej.

Znacznie ciekawszym przypadkiem jest kula znaleziona w 1974 r. na Florydzie (USA). Badana była przez wielu uczonych amerykańskich, między innymi przez znanego uczonego, prof. Allana Hynka. Średnica kuli wynosi 20,3 mm, waga 9670 g, jej powłoka zewnętrzna wykonana jest ze stali nierdzewnej. Przeglądzenie rentgenowskie wykazało, iż grubość jej ścianek wynosi 10,9 do 11,4 mm, zaś wnętrze wypełnione jest tworami kulistymi niznanego przeznaczenia. Kula zachowuje się jak bardzo skomplikowany instrument lub urządzenie — z własnym napędem, pokonującym grawitację ziemską. Położona na płaskiej powierzchni, np. na podłodze lub stole szklanej, bez żadnego widocznego powodu rusza z miejsca i toczy się w różnych kierunkach, a nawet pokonuje nieznaczne wzniesienia. Najdziwniejszy jest fakt, że dokonywanie przeliczeń matematycznych opartych na jej parametrach wykazuje niezbicie, że kula jest pusta! Waga skorupy wykonanej ze stali nierdzewnej wynosi w przybliżeniu tyle samo, co waga całej kuli, tj. 9670 gramów. Co więc jest w niej, skoro wynika z obliczeń, że waga zawartości jest równa zeru, a prześwietlenie wykazuje coś zupełnie innego? Najprościej byłoby kulę otworzyć, cóż z tego, skoro nikt dotąd nie potrafił tego dokonać, kula opiera się wszystkim dotychczas stosowanym sposobom, a nie chodzi przecież o to, aby przy jej otwieraniu zniszczyć jej zawartość, która może się okazać bezcenna dla nauki. Z innych niezwykłych zachowań się kuli wyliczyć należy takie niezwykłości, jak cztery bieguny magnetyczne na jej powierzchni, i to zmieniające swoje usytuowanie, ponadto kula odpowiada niezwykłym rezonansem na niektóre dźwięki.

Kulę znaleziono na polu, przy czym nie stwierdzono jakiegokolwiek śladu upadku jej z dużej wysokości, ani w ogóle żadnych innych śladów w pobliżu, sugerujących, że ktoś ją tam podrzucił. Na powierzchni jej nie stwierdzono żadnych, nawet najmniejszych uszkodzeń od mikrometeorytów i skutków przegrzania, w wypadku, gdyby kula przybyła z kosmosu. Wygląda na to, że łagodnie wylądowała na Ziemi.

Wydaje się, że te typu znaleziska są znacznie bardziej niezwykłe niż nieuchwytne UFO, gdyż stanowią konkretne przedmioty, które można badać naukowo, mimo że, jak dotąd, z badań tych nie wyciągnięto żadnych konkretnych wniosków.

Kazimierz Bzowski
Warszawa

„ŹRÓDŁA" i 15 LAT KKMP

Z mieszanymi uczuciami przeczytałem w „Kamenie" z 14 października br. na łamach kolumn młodoliterackich „Źródła" artykuł Stanisława Żurka pt. „15 lat Klubu Młodych Pisarzy w Lublinie".

Sporo tu nieścisłości i niedomówień, popełnionych — co gorsza — chyba w dobrej wierze, bo o złą nie posądzam Żurka, który być może nie dysponował niezbędnymi materiałami z dziedziny Lubelskiego Ośrodka KKMP. W tej sytuacji czuję się w obowiązku sprostować oraz uzupełnić niektóre dane.

Już sama nazwa Klubu budzi zastrzeżenia. Od początku bowiem istnienia Klubu do chwili obecnej brzmi ona w całym kraju Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Doprawdy nie wiem na jakiej zasadzie uległa więc zmianie w odniesieniu do Lubelskiego Ośrodka?

Najwyższą instancją Klubu, władną podejmować decyzje o nazwie oraz zmianach statutowych stanowi Krajowy Zjazd KKMP, zwoływany co 4 lata: o ile mi wiadomo, decyzja o zmianie nazwy Klubu na Zjeździe nie zapadła.

Funkcje kierownicze oraz koordynacyjne w Klubie pełniła Krajowa Rada KKMP, w skład której wchodzili przewodniczący ośrodków, a nie Zarząd Główny KKMP — jak chce autor.

W chwili powstania KKMP, odpowiadało to na konkretne zapotrzebowanie społeczne — ułatwiania startu oraz integrowania

Dokończenie na str. 15

U Kowalskich w nowym mieszkaniu

Dokończenie ze str. 1

żeństwa otrzymali w czerwcu 1972 roku spółdzielcze M-3 z odzysku, dwa pokoje z widną kuchnią, trzydzieści siedem metrów kwadratowych i wtedy Kowalski wziął pierwszą pożyczkę z pracy oraz założył teczkę pod tytułem „Sprawy mieszkaniowe".

W tym M-3 zaraz urodziła im się córka i musieli wziąć niańkę. W 1976 roku urodził im się syn, niańka się zbuntowała, żłobek państwowy za daleko, żłobek nielegalny u sąsiadki za drogo i Kowalskiej bardziej się opłacało pójść na urlop bezpłatny. Kowalski zarabiał wtedy sześć tysięcy miesięcznie, brał kolejną pożyczkę z pracy, a teczka „Sprawy mieszkaniowe" wzbogaciła się podaniem o zamianę mieszkania, na co firma odpowiedziała Kowalskiemu, że nic z tego, bo nie dysponuje mieszkaniami spółdzielczymi w bieżącej pięciolatce.

Kowalski, żeby uregulować telewizor w swoim M-3, musiał skakać przez wersalkę i kłaść się na stole, toteż złożył podanie do wojewódzkiej spółdzielni mieszkaniowej w marcu ubiegłego roku, gdy już tej gimnastyki miał dosyć, ale wpierw zameldował u siebie babcię, czyli swoją matkę. Więc tak: Kowalski, Kowalska, dodatkowa powierzchnia na Kowalską jako nauczycielkę, córka, syn, babcia. Wynikało, że Kowalskim przysługuje sześć „norm zaludnienia", M-6.

I w ten oto sposób przedstawia się całe tło historyczno-ekonomiczne. Oraz kończy się pierwsze pół litra.

Pierwszego maja 1978 roku, po pochodzie, Kowalski stał sobie na ulicy i gapił się, aż tu do niego podbiega stary kolega ze studiów. Od słowa do słowa i zgadali się, że ten kolega ma znajomego, który jest kimś w spółdzielni mieszkaniowej... I już za pięć miesięcy Kowalski otrzymał zawiadomienie, że dostaje mieszkanie przy ulicy takiej i takiej numer ten i ten, spółdzielcze lokatorskie M-6!

Kowalscy doznali radosnego szoku („doznaliśmy radosnego szoku"). Był sierpień, piękna, słoneczna pogoda. Pojechali do administracji nowego osiedla i w zastaw za dowody osobiste pobrali klucze, żeby obejrzeć przyszłe swe mieszkanie, które okazało się już wysprzątane, wybiałkowane, pięć pokoi z kuchnią, siedemdziesiąt dwa metry, pełno okien, korytarz długi, pełno drzwi. Jak w ministerstwie.

Akurat wtedy Kowalski miał wyjeżdżać na wycieczkę do Budapesztu, którą organizowała jego firma. W przeddzień wyjazdu zdążył jeszcze załatwić przydział nowego mieszkania, przelew wkładów, przemeldowanie i tak dalej. Urwał się z roboty, operował taksówką (licznik wybił sto siedemdziesiąt osiem złotych — zanotowane w teczce „Sprawy mieszkaniowe") i w najlepszym garniturze, kupionym przed laty za pożyczkę dla młodych małżeństw, ubłocony po pachy, wręczył Kowalskiej klucze od nowego mieszkania.

Po powrocie Kowalskiego z Budapesztu, skąd kosztem zwierzęcych wyrzeczeń przywiózł żonie złoty łańcuszek, zaczęła się przeprowadzka.

Drobiazgi ładowali w pudła, które załatwili u znajomych w sklepach. Ona (ciągle urlop bezpłatny) głównie pakowała. On urywał się z pracy i pokrywał ściany nowego mieszkania farbą klejową „maluj sam" w kolory pastelowe, tak że malowanie pokojów wyniosło Kowalskich czterysta złotych, a nie dziesięć tysięcy, które by zapłacili malarzom.

Wozili pudła taksówkami (czterysta pięćdziesiąt złotych zapisano w teczce „Sprawy mieszkaniowe"), kierowcy klęli, odmawiali kursów, bo — jak to w nowym osiedlu — miskę olejową można w wozie zerwać. Do przewiezienia większych gratów Kowalski legalnie zamówił w swojej firmie ciężarówkę i pokrył koszty benzyny.

Po miesiącu przeprowadzki Kowalscy zdali klucze od starego mieszkania — 30 października 1978 roku — i ostatecznie osiedli w nowym. Meble z M-3 rozstawili w pięciu pokojach i dopiero wtedy się okazało, jak tamto mieszkanie było zagęszczone.

Przez pierwsze pół roku żadnych gratów nie dokupowali. Wpierw kosmetyka: instalacja karniszy, taśma szwedzka w oknach (przy zakładaniu pękały szyby — o Boże, nowe wydatki!), wymiana trocinowych parapetów na lastrikowe (dziesięć tysięcy złotych — teczka „Sprawy mieszkaniowe" coraz grubsza), własnoręczne przemalowywanie brudnozielonych lamperii olejnych w łazience i ubikacji na lazur nieba i kość słoniową, kupno zagranicznych sztućców ozdobnych do powieszenia w kuchni (pięćset złotych na bazarze przy PKS)...

Kowalski przemalowywał te lamperie z mrówczą pracowitością i coraz większą rozpaczą, bo czuł, że teraz już się nie wywinie. Jeszcze w M-3 zaczęło mu puchnąć udo, tak że w ciągu kilkunastu miesięcy osiągnął największą pozycję w numeracji męskich bielizn. Lekarze kiwali głowami i mruczeli coś niejasno, wreszcie Kowalski w pewnym momencie pomyślał najgorsze: rak, kurwa! I pomyślał także: przynajmniej moja rodzina zabezpieczona w M-6.

Wpierw musiał się obliczyć. Z M-3 został mu wkład, po odtrąceniu amortyzacji, dwadzieścia tysięcy. Firma dała sześćdziesiąt pożyczki (na bardzo dogodnych warunkach spłaty). Razem osiemdziesiąt. Wkładu na M-6 wpłacił czterdzieści osiem tysięcy, dwadzieścia sześć kosztowała kosmetyka nowego mieszkania. Zostały grosze.

Gdzie są moje pieniądze? — myślał Kowalski i wykombinował nową pożyczkę: dwadzieścia tysięcy na operację. Gdy miał swoje dwadzieścia, zaczął się rozglądać, gdzie by tu kupić „zielone", bo słyszał, że lekarze już przestali przyjmować złotówki. Rozglądał się, aż mu jego szef z firmy pomógł dostać się do profesora. Nie było mowy o żadnej forsie. Kowalski wylądował w szpitalnej sali, gdzie — jak mawiały pielęgniarki — same „protegusy" leżą. Operacja się udała, po miesięcznym pobycie wyszedł ze szpitala w marcu tego roku.

I tak: adiunktom po koniaku oraz kwiatki, dla pielęgniarek i salowych kwiatków oraz czekolad do jasnej cholery, ale profesorowi nie wypada dać koniaku, więc Kowalska kupiła kryształ za siedem tysięcy. Okazało się zresztą, że to nie był rak, tylko jakaś nietypowa torbiel. Jedyna mądra rada — nie chorować!

Jaka jest aktualna sytuacja? Ostatnio dokupili trochę mebli, biurko do pokoju Kowalskiego, komplet młodzieżowy „zielona Łódź", szafki i stół do kuchni. To rodzina Kowalskiej, choć niebogata, szarpnęła się, a Kowalskiemu pozostało tylko urywać się z roboty i wystawać osiem godzin, raz po razie, w sklepie meblowym, bo Kowalska od września poszła do szkoły uczyć, a w domu mieszka i pomaga babcia, czyli mama Kowalskiego.

Wyprowadzając się z M-3, zostawili tam dziewięć metrów własnej glazury białej (około dziesięć tysięcy wtedy kosztowało to), za co nie dostali ani grosza, ponieważ do chwili opuszczenia mieszkania nie wiedzieli, kto tam się wprowadzi. Teraz Kowalscy wiedzą, że wprowadził się adiunkt-ginekolog a mieszkanie zapisane na jego ojca, z kombinacją chyba na nielegalny gabinet ginekologiczny.

Gdy Kowalski całkiem wydobrzał po operacji, zadzwonił do adiunkta:

— Zostawiłem u pana glazurę, za co należą mi się pieniądze.

— Zapłaciłem ogólną sumę w spółdzielni za mieszkanie i nic mnie nie obchodzi jakaś glazura.

— Gdzie pan teraz widział oddane mieszkania spółdzielcze z glazurą?

— Pan nie jest partnerem do tej rozmowy, widzę. Proszę powołać rzeczoznawcę.

— Glazura jest moja.

— To dlaczegoście zwlekali? Ja bym wam ją oddał na początku. Zresztą gdy zrobię remont, to ją skuję i możecie sobie brać, bo zamierzam położyć własną hiszpańską, a nie jakiś polski szmelc.

Kowalski odgraża się, że on tego adiunkta-ginekologa jeszcze dopadnie za przywłaszczenie cudzej własności, krwi mu napsuje chamowi, który bierze za jedną skrobankę trzy tysiące, a do Kowalskich glazury chce powoływać rzeczoznawcę, choć to sprawa humanitarna, a nie prawna.

Kowalski zarabia sześć pięćset, Kowalska cztery, razem mają więc dziesięć pięćset miesięcznie. Czynsz płacą tysiąc dwieście siedemdziesiąt (w tym ryczałt za gaz), światło dwieście, rata pożyczek tysiąc siedemset, przedszkole córki siedemset, babcia tysiąc (babcia owdowiała niedawno, utrzymuje siostrę Kowalskiego, studentkę, więc zamiast u obcych dorabia u własnego syna niańczeniem własnego wnuka i gotowaniem obiadów całej rodzinie, ale tęskni bardzo za małym białym domkiem w miasteczku i nie umie się przyjąć do kibla w mieście — jak powiada Kowalski, wznosząc kielich).

Za cztery lata Kowalski spłaci pożyczkę i weźmie następną, pierwszym zakupem będzie dywan, którego dotąd nie zdążyli się dorobić. Tak daleko Kowalski myślą nie sięga, żeby mówić o glazurze w nowym mieszkaniu (chyba że adiunkt-ginekolog zwróci), kolorowym telewizorze, pralce automatycznej, „maluchu" (chyba że babcia sprzeda mały biały domek, a siostra skończy studia i dobrze wyjdzie za mąż).

Taka jest najogólniejsza sytuacja ekonomiczna rodziny Kowalskich, żyjących na siedemdziesięciu dwu metrach, które jeszcze nie zostały z tym kimś ze spółdzielni obiane, co Kowalskiego męczy.

Mieszkanie raczej udało się, na przykład lenteks, położony latem, nie gnije; każdy ma własny pokój umeblowany, z osobnym wejściem; korytarz długi cieszy, bo gdy pada deszcz, dzieci mają gdzie pobiegać. O tym że przy uszczelnianiu otworów okiennych nóż wypadł na balkon, przez szparę między murem a futryną, a w wigilię 1978 roku było w mieszkaniu plus dziewięć stopni, wspomina się z sentymentalnym humorem.

Kowalscy wstają o szóstej rano. On odprowadza małą do przedszkola w śródmieściu. Na osiedlu nie ma przedszkola, a do przystanku autobusu piętnaście minut, więc Kowalski woli iść piechotą te trzy kilometry, jakie dzielą jego osiedle od śródmieścia. Kowalska, która do pracy chodzi na jedenastą, załatwia rano podstawowe zakupy w niedawno otwartym osiedlowym „samie": mleko, sery, jaja, pieczywo. Tymczasem babcia ustawia się w kolejce za wędliną i mięsem i ściąga do domu około południa, zaczyna pitrasić obiad. Z przedszkola odbiera małą Kowalska, wraca do domu, sprząta, pierze i siada przygotowywać się do lekcji, żeby tym matołom z technikum trochę wiedzy polonistycznej przekazać. Kowalski kończy robotę o szesnastej, jeśli go w teren nie wygonią. Jedzą obiad, kiedy kto przyjdzie, babcia gotuje smacznie.

Sąsiadom mówi Kowalski grzecznie „dzieńdobry", ale kontaktów nie utrzymuje, bo wokół przeważnie mieszka hołota, która psom kartofle wysypuje na klatce i zdechłymi kurami zapycha kible.

Hołota żyje po dawnemu, a Kowalski wie przecież, że gdy człowiek dostaje nowe mieszkanie, to powinien się czuć jakby złapał kolorowego ptaka w garść. I że to jest nowy etap w życiu człowieka. Na starym mieszkaniu zostają stare kłopoty, niesnaski rodzinne, w nowym mieszkaniu wszystko zaczyna się od nowa. Kowalska to częściowo potwierdza:

— Kiedy otrzymaliśmy mieszkanie, powiedziałam „mężu kochany, akurat masz wiek chrystusowy i ja już zaczynam swe lata dojrzałe".

Kobieta dojrzała odczuwa coraz większą przyjemność w łóżku, szczególnie, gdy ono stoi w nowym M-6. Mężczyzna dojrzały robi się coraz większy artysta. I oni sobie wymyślają różne układy. A ponadto Kowalski, który w okresie, kiedy mu udo puchło, zaczął ostro popijać jeszcze w M-3, i nie zawsze wracał na noc, teraz wszystkie noce spędza w domu:

— Jak tu mieszkam, ani razu nie zarzygałem koszuli — powiada.

— Nie przesadzaj, raz zarzygałeś — prostuje pedagogicznie żona-nauczycielka.

— Możliwe, ale przyniosłem wtedy kaszę gryczaną od Nowaka — kończy dyskusję Kowalski. Oraz kończymy drugie pół litra.

Maciej Podgórski

Rys. Edward Inglot

Kamena str. 10

Człowiek rodzi, człowiek się rodzi

Bronisław Kowalski

WSZYSTKO, co kobiety mogły mi opowiedzieć o bólu, sprowadzałem do wspominania wizyt u dentysty. Przestałem więc o to pytać. Pomyślałem, że w życiowej loterii wyciągnąłem szczęśliwy los, rodząc się mężczyzną — fortunny los, chroniący przed wydaniem dziecka na świat. Nie muszę odstawiać gieroja — i tak urodziła mnie kobieta odważniejsza ode mnie. Jak każda, która daje życie. Która wychowuje — również.

Wejście do jednej z klinik położniczych w Lublinie. Wąskie drzwi, boczne w wielkiej bramie. Klatka schodowa ciasna. Szaro, ponuro tu. I dlaczego kolor lamperii smutny jak listopad? Przed drzwiami na porodówkę wielka kałuża wody, w którą nie da się nie wdepnąć. Na następnym piętrze remont. Czy to ma być usprawiedliwienie? Nie widać nic barwnego, kolorowego. Kwiaty — czy tu w ogóle były kiedyś? Dopiero wewnątrz cieplejsze barwy — beżowe płytki podłogi, trochę jesiennego słońca. Ale czy kobieta, która ma być matką za kilkanaście godzin, widzi to wszystko, gdy wchodzi na drugie piętro?

Kilka miesięcy temu kobieta, która miała być matką, weszła tutaj i jako jedno z pierwszych pytań usłyszała:

— Czyją pani jest znajomą?

— Niczyją.

To było zła odpowiedź. Dostała łóżko na korytarzu „dostawkę". Mogło akurat nie być miejsca w salach, teraz rodzi „wyż". Ale człowiek kojarzy fakty: pytanie, odpowiedź i rezultaty. Zadzwoniła do męża. Tak się złożyło, że on mógł zrobić awanturę „prestiżową". I zrobił. Dla żony znalazło się łóżko. Również opiekę miała dobrą.

Remont, bo budynek jest stary, jak cały kompleks szpitalny. Również druga porodówka w mieście znajduje się w starym budynku. Tylko trzecia mieści się w nowoczesnym gmachu. Remont więc, bo trzeba poprawiać stan techniczny. Komfortu się nie osiągnie, szkoda marzyć, ale to i owo się zmodernizuje.

To ponoć najlepsza klinika położnicza w Lublinie.

— Słyszałam, że tu się dobrze rodzi. — I dlatego dwa lata temu Bożena wybrała to miejsce na urodzenie pierwszego dziecka. — Przyjechałam o trzeciej w nocy. Pani położna była zaspana, ale bardzo życzliwa. Po czterech dniach od powrotu z dzieckiem do domu wyszło, że zostało we mnie kawałek łożyska. Potem przeleżałam na ginekologii całe święta. Drugi raz rodziłam miesiąc temu. Mam w szpitalu znajomą pielęgniarkę, która poinformowała położną jak należy i tym razem wszystko poszło szybko. Ja byłam grzeczna, to i mnie traktowali dobrze. Nie żądałam docenta. Tam jest rzeczywiście mało salowych i one są przemęczone. Kiedy prosiłyśmy o podkłady jedną salową, powiedziała: „Zaraz przyjdę", ale nie przyszła. Dopiero ta, co dostała czekoladę, przyniosła podkłady. Położne — no, są takie, które przychodzą do rodzącej i mówią: „Nie bój się, nie denerwuj, wszystko będzie dobrze". A są i takie, co krzyczą zza ściany: „Cicho, nie krzycz, nie ty pierwsza, nie ty ostatnia rodzisz".

Małgorzata również rodziła tutaj miesiąc temu. Nic sobie wcześniej nie załatwiła, bo bezbolesny poród kosztuje podobno u położnej dwa tysiące, a nie miała tyle. Najgorsze noce. Nocą rodziło pięć kobiet, a tylko jedna położna i jedna salowa były na dyżurze. Zmęczyły się szybko, poszły zapalić, posłuchać radia. Jedna kobieta krzyczała.

— Drzyj się, drzyj — powiedziała dyżurna — będzie ci lżej.

Wtedy człowiek jest podwójnie rozgoryczony, bo i tak nie czuje, że ktoś opiekuje się pacjentką: codziennie jest inny lekarz. Salowa postawiła Małgorzacie basen obok łóżka, a ona, pozszywana, nie mogła zejść.

— Pani zejdzie, nic się pani nie stanie — poradziła salowa, ale nie pomogła.

— Pozytywnie może opowiadać ktoś, kto ma wszystko od początku załatwione — Grażyna miała, choć ojciec szukał „dojść" dopiero ostatniego dnia przed porodem. — Właściwie cała rodzina kobiety stara się coś załatwić, gdy ona idzie rodzić. Mój ojciec pracuje w służbie zdrowia i tu i tam podzwonił. Od razu po przyjściu do kliniki chciałam, żeby doktor mnie zbadał, ale on wrzasnął na mnie. No tak, tam wszyscy krzyczą. I to chyba uspokaja pacjentki. Rodziły ze mną cztery pielęgniarki, bo miałam ciężki poród. Dopiero po wszystkim dowiedziałam się, że byłam zszywana, ale mnie nic nie bolało. Rozmawiałam z innymi kobietami, mówiły, że szycie to potworny ból. Ale to jest kwestia załatwienia odpowiednich leków. Koleżanka nie chciała wierzyć, że nic nie czułam.

Grażyna, która opowiadała to, rodziła w innej klinice. Wydawało jej się, że tam jest za mało personelu — pielęgniarek, salowych. Pielęgniarki, owszem, znają swój fach, takie miała wrażenie. Z salowymi gorzej.

— Niektóre z nich, nie wszystkie, to wulgarne kobiety — oceniła Grażyna. — Ciągle się słyszy: „Ja tu nie będę robić, nie jestem służącą". Sąsiadce po cesarce pomagałyśmy we trzy, pacjentki, podnosić się, bo żadna salowa nie przychodziła na wołania. Jedna z nich okropnie przeklinała. Druga była przyjemniejsza ale, tylko gdy któraś z nas coś jej dała. Ale one tam pracują jak w kieracie, schodzą z dyżuru i słaniają się na nogach, właściwie powinny być wysoko cenione.

Akurat, gdy leżała, przeprowadzana była wśród położnic ankieta.

— Te panie, co ze mną leżały, pisały nieprawdę, że tak im dobrze. Nie rozumiem tych kobiet. Ankiety były przecież anonimowe i ordynator mówił: „Proszę pisać prawdę, jak tu jest".

Renata, kiedy rodziła, była jeszcze studentką. Nie dawała żadnych „prezentów", bo nie miała pieniędzy i nikt od niej nic nie chciał. Urodziła syna w zwykłym szpitalu, nie w klinice.

— Naprawdę sympatyczna była pani doktor, niewysoka blondyneczka. Ciągle mnie uspokajała. „Cierpliwości, mówiła, już niedługo". I jedna salowa była uczynna, drobniutka brunetka, chyba bardzo zmęczona życiem. Widać było, że jest biedna. Jeszcze przed porodem zwymiotowałam obok łóżka. No bo gdzie? Przecież człowiek się nie może ruszyć, a nie miałam siły wołać. Potem w czasie porodu wołałam i położna powiedziała salowej: „Niech pani poda nerkę tej zarzyganej". Podobało mi się, że studenci bardzo pomagali, gdy rodziłam. Jeden z nich głaskał mnie po głowie, był opiekuńczy, a wtedy nawet jak ktoś za rękę potrzyma, to dużo znaczy. W takim momencie chce się czyjejś serdeczności, ciepła. Przecież to szok rodzić po raz pierwszy i chce się życzliwego podejścia. Ale tam nikt za nikim nie chodził. A przecież nawet moja kotka, gdy rodziła to nie dała mi odejść od siebie na krok.

— Ja już nie mówię, żeby były zaraz zielone dywany i pojedyncze pokoje z telewizorem, jak na tym filmie o porodzie Hildy — stwierdziła Maria, która rodziła kilka lat temu — ale żeby nie trzeba było ciągle dopraszać się a to o podkłady, a to, o ligninę, żeby wystarczało bandaży. Ubikacje, no przecież to strach — dwie w klinice, na porodówce, a tylko jedna czynna, druga zapchana. Wystarczy tam zajrzeć i można się rozchorować. Łóżka są za wysokie, kobieta po porodzie nie może ani wejść, ani zejść sama. Jeśli nie chcę mieć drugiego dziecka, to również dlatego, że już wiem, co to znaczy leżeć w nocy osiem godzin samemu na sali porodowej, gdy nie zajrzy ani położna, ani lekarz. Do rana miałam zaniki bólów i tętna, ale potem zajęło się mną kilku lekarzy i w trzy godziny urodziłam córkę. Ach, ten film — oglądałam go z przyjaciółką, która wcześniej już rodziła. Trącała mnie co chwilę, gdy pokazywali te dywany w porodówce, to że mąż odwiedzał żonę i tłum lekarzy — i mówiła: „Tylko nie myśl, że to tak będzie".

Andrzej Chodorowski: „Erotyk IV" — rys. pisakiem, 1976

* * *

Doc. hab. dr Henryk Żrubek, zamyślił się.

— Ból? — powiedział po chwili — My, mężczyźni nie możemy sobie tego porównać z niczym. Obecnie jest kierunek, aby eliminować ból, ale głównie poprzez oddziaływanie psychiczne raczej, aby się kobiety nie bały.

Doktor jest dyrektorem Instytutu Położnictwa i Chorób Kobiecych AM w Lublinie. Budynek gdzie jest klinika położnicza i gabinet, w którym urzęduje dyrektor znajduje się przy ulicy Staszica. Wejście przez wąskie drzwi, boczne w wielkiej bramie...

— Stary budynek. To nie jest obiekt spełniający wymogi przyzwoitego szpitala — ocenił dyrektor. — Świdnik, Kraśnik, mają lepsze warunki. Te remonty to się robi tak: „Nie ma farby" — mówią. Nie, że jakiegoś koloru nie ma, ale farby. Kiedyś, owszem, malarze pytali, jaki kolor położyć. Wiem, taki obiekt powinien wnosić nastrój pogody, dobrego samopoczucia. Ale przecież nasza największa bolączka to aparatura, sprzęt medyczny, głównie jeśli idzie o położnictwo, a to jest dziedzina, w której spodziewamy się elektroniki. No, tak, mamy kardiotokograf, nawet dwa, ale każdy powinien być statystycznie na 500 porodów, nie na sześć tysięcy. Kwiaty? Kwiaty to mężowie przynoszą. W Hiszpanii pokazywano mi centrum macierzyństwa; nasze projekty — niebo a ziemia, tam elektronika, pojedyncze porodówki, wnęki dla dzieci z dostępem dla pielęgniarek i matek. Ale, wie pan, swoich starych szpitali mi nie pokazywali. To, że kobiety w naszej klinice chcą rodzić, nawet te spoza rejonu, widać w ilości próśb o skierowanie do nas. Ale przecież my dążymy, aby poczucie bezpieczeństwa przy porodzie miały kobiety w każdej placówce — i w instytucie i w szpitalu zespolonym. Opinia o klinice nie jest moją zasługą, raczej nie żyjącego już profesora Tyneckiego. On mówił: „Żywe dziecię dać każdej kobiecie". Od tamtego czasu myśmy dodali drugi przymiotnik: zdrowe.

Dyrektor nie żeby wpadł w patetyczny ton,absolutnie nie. Zastanowiło go przytoczenie dziwnego pytania o znajomości.

— Hm, to nie najlepiej świadczy o zespole dyżurnym z tego dnia. Myślę, że to wynika, po pierwsze, z ciasnoty, w której przebywamy. Po drugie — z salowymi jest szczególny kłopot. Fakt, ale część personelu niższego, pracującego od lat to bardzo dobre kobiety. Jeśli jednak nowe odchodzą po trzech miesiącach, to czy możemy je wychować w tym czasie? Jeszcze taka, która doświadczy sama, jak jest ważne dobre słowo i ciepły stosunek w trakcie porodu, zachowuje się poprawnie. Kto do nas przyjdzie na salową? — pytał były dyrektor. To trudna sprawa. Wie pan, można tak pracować, że się zmusi położnicę do „prezentów" — nie podając basenów, podkładów. Ja mogę w każdej chwili zwrócić się do kadr o usunięcie kogoś z personelu, jeśli będą nań skargi.

Ale do mnie nic nie wpływa, kobiety się nie skarżą. Ankieta, którą przeprowadził rektor AM, może nie świadczyła bardzo dobrze o wielu sprawach — nieodpowiednie wyżywienie, brak lekarstw, dostępność środków opatrunkowych, brud w ubikacjach — czasem się zatykają muszle, gdy nie ma ciśnienia wody. Natomiast opinie o lekarzach i pielęgniarkach były bardzo dobre. Chociaż... zdarzyły się pojedyńcze skargi na wulgarne zachowanie personelu i bezduszny stosunek do pacjentek.

— Rutyna... — zastanowił się dyrektor — Sam tego doświadczam na sobie. To może być odbierane przez pacjentki jako oschłość.

Młodzi wypełniają brak doświadczenia zaangażowaniem. Kiedy byłem młodym asystentem, wiele kobiet dziękowało mi za opiekę. Teraz też się nie skarżą, choć to nie zawsze szczere z ich strony... Jasne, że sama obecność lekarza ma wielkie znaczenie i często do dobrze przebiegającego porodu wysyła się młodego lekarza, aby w razie konieczności interwencji ten bardziej doświadczony był wypoczęty. Metoda nie zmienia jednak faktu, że serdeczność dla pacjentek to cecha indywidualna człowieka, jeden podchodzi z sercem, ciepłem, potrafi stworzyć dobry klimat. Drugi jednym niebacznym słowem, jednym gestem może ujemnie zadziałać na stan psychiczny pacjentki. Kilkanaście lat temu bardzo mnie poruszył fakt, że lekarz uderzył kobietę w czasie porodu.

W tonie głosu doktora wyczułem (wydawało mi się?) jakby sentyment do swych emocji sprzed lat.

— Człowiek się zmienia. Długie lata pracowałem na trakcie porodowym, zawsze emocjonalnie przeżywam poród, ale po 27 latach może sam obrosłem w rutynę?

A każda chora czy rodząca oczekuje, że się o niej pamięta, że człowiek zaangażuje całą wiedzę i serce głównie... Taaak...

DWUGŁOS: RECENZENT — AUTOR

Błażeja Siennickiego konterfekt pełny

Zbigniew Góralski

TRZY powieści Królikowskiego *) miały już recenzje, a wszystkie pozytywne. Zajmowali się nimi fachowcy i znawcy dawnej broni i barwy, pisano o ich walorach językowych, a szczególnie podkreślano umiejętności autora w operowaniu staropolszczyzną. Zwracano uwagę na zgodność treści z ówczesną rzeczywistością historyczną, wychwytywano też poszczególne błędy i lapsusy. Rozważano, czy czytelnika nie znużą liczne, niemal identyczne opisy scen bataliastycznych, czy nie zgubi się on w rozlicznych szczegółach dawnego wojskowego ekwipunku i sposobu prowadzenia działań wojennych. Wszystkie te kwestie w zasadzie omówiono. My zatrzymajmy się przy samej osobie Błażeja Siennickiego, postaci łączącej trylogię Królikowskiego.

Zwracano już uwagę że Siennicki, postać plastyczna i nie papierowa, zdradza cechy charakteru nie przystające do epoki i obce ówczesnym ludziom. Znajdujemy się w okresie kontrreformacji. Wprawdzie do oczadziałych irracjonalizmem czasów saskich jeszcze daleko, niemniej i w okresie Siennickiego przyznawanie się do wolnomyślicielstwa nie było zbyt dobrze widziane. Tymczasem pan Siennicki jawi nam się zupełnym racjonalistą, który nie wierzy ani w cud częstochowski, ani w ocalenie od pożaru klasztoru Norbertanek. Cechy te u pana Siennickiego ulegają pewnym zmianom w miarę jak akcja się rozwija, a bohater posuwa się w latach. Być może sam autor dostrzegł w drugim i trzecim tomie, iż postać jego bohatera pozostaje w pewnej niezgodzie z epoką, pojawiają się bowiem nieśmiałe przebąkiwania o przejawach życia religijnego Siennickiego.

Wychodzą i inne słabości jego charakteru. Wraz ze starczym gaduŁstwem zjawiają się u Siennickiego osobliwe patologiczne manie prześladowcze jako pozostałości przeżyć wojennych, co świadczy, że psychicznie wojen nie wytrzymał. Wydaje się to nieco dziwne u człowieka zaprawionego w wojaczce, będącej w tamtych czasach chlebem powszednim. Wszystko to kończy się apostrofą rodem ze wstępniaków z dzisiejszych gazet, niewątpliwie słuszną, ale znów nieprzystającą do tamtych czasów i stanowiącą jakiś zgrzyt w całości pisanej lunym tonem.

Takie zatem pretensje mielibyśmy do bohatera książki Królikowskiego. Wydaje się, że pewne retusze, bardzo wyważone, byłyby pożyteczne. Siennicki stałby się wtedy bardziej reprezentacyjny: chcielibyśmy w nim widzieć typowego przedstawiciela epoki.

Królikowski dał obraz wrażający się w pamięć. Kto wie, czy bitew gołąbskiej i wareckiej nie będziemy widzieć odtąd w obrazie zasugerowanym przez niego. Również pewne sceny obyczajowe są oddane bardzo dobrze. Zamość, w którym Siennicki kupuje wyprawę wojenną, jawi nam się miastem naprawdę żywym i czujemy jego tętno. Prawdziwa jest też Warszawa w czasie elekcji, podobnie sceny w karczmach i przy ucztach. Chciałoby się powiedzieć, że autor opisuje to, co widział i w czym sam uczestniczył.

Książki rozeszły się szybko. Prosiłoby się ich wznowienie; ja najchętniej widziałbym je w jednym woluminie większego formatu.

I to byłoby wszystko co pozostawili mi do powiedzenia inni recenzenci. Można się spodziewać przy tym, że nie jest to ostatnia książka Królikowskiego i że wszedłszy z powodzeniem w ten gatunek literacki będzie się go trzymał. Czasy staropolskie są bowiem bardzo atrakcyjne, a osnute na ich tle powieści zawsze znajdą wdzięcznego czytelnika.

*) Bohdan Królikowski: „Błażeja Siennickiego diariusz z wojny szwedzkiej", Wydawnictwo MON 1977; „Błażeja Siennickiego przypadki wojenne osobliwsze", Wydawnictwo MON 1978; „Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje", Wydawnictwo MON 1978.

Nie wielka ale uczciwa

Bohdan Królikowski

WIELU znajomych pyta: „Dlaczego wziąłeś się za pisanie powieści?" (inni dodają: „dlaczego dopiero teraz, po czterdziestce"). — Pytanie z rzędu niedyskretnych, ale odpowiadam: Od lat pisywałem to i owo; tam recenzję, tu artykuł. Po jakimś czasie wszystkie te formy pisarstwa zaczęły mieć coraz częściej wspólny mianownik: dawne wojsko i staropolskie pamiętniki. Dawne polskie wojsko: mundur, szabla, koń — to moje hobby. Pamiętnikami zajmowałem się jako autor dysertacji doktorskiej, jako edytor (od kilku lat dwa wydawnictwa z roku na rok odraczają — trzeba na to masę papieru! — druk przygotowanego przeze mnie do publikacji osiemnastowiecznego diariusza i antologii pamiętników z wieku XVII), jako recenzent „Twórczości", wreszcie jako gawędziarz radiowy. Interesują mnie zresztą pamiętniki nie tylko staropolskie.

Około roku 1972 stanąłem na rozdrożu. Zakończyłem prace edytorskie, przestało mnie bawić pisanie przyczynków „naukowych" (latami czeka się na druk), zaś teksty o starych pamiętnikach i dawnym wojsku rzadko które pismo chce brać. A pisanie weszło w krew. W tej sytuacji postawiłem na trzy karty od razu: złożyłem do Wydawnictwa Lubelskiego propozycję tomu szkiców o obyczajach doby saskiej (miał to być zapis moich gawęd radiowych), do serii BKD (gdzie wtedy wydałem tomik o wojnie północnej) projekt książeczki o Marcinie Kątskim, generale artylerii z czasów Sobieskiego, a do Wydawnictwa MON (trochę na wariata!) konspekt powieści o wojnach szwedzkich.

Wydawnictwo Lubelskie kręciło nosem. W BKD odpowiedzieli, że chętnie, ale... seria się kończy. Natomiast Redakcja Literatury „Prześlicznej" (jak się to tam, na Grzybowskiej, między braćmi określa) potraktowała mój projekt poważnie.

Tak narodził się jmp. Błażej Siennicki. Dlaczego Błażej? Chciałem mu dać coś ze siebie, a ponieważ urodziłem się na św. Błażeja, narrator dostał moją datę urodzenia (o 300 lat wcześniejszą) i patrona, którego sobie obaj „przynieśliśmy". Dlaczego Siennicki? Znam nieźle okolice Krasnegostawu i od dawna podobała mi się nazwa wsi Siennica Różana. Chciałem mego bohatera osadzić w znanym mi terenie. Rozumowałem: skoro jest Siennica, musieli być Siennicey. Poszperałem w herbarzach. Są: dobra nasza. Ma zatem imć pan Błażej pewne cechy prawdopodobieństwa, a historia jego rodziny — z małymi upiększeniami — jest autentyczna.

Miała to być początkowo jedna książka, obejmująca czasy wojen szwedzkich z przyległościami, ale pan Siennicki rozgadał się. Wyszedł cykl. Nie moja wina... Pamiętałem i o generale Kątskim. W tej chwili w Wydawnictwie MON jest w opracowaniu redakcyjnym książka jemu poświęcona, o nieustalonym jeszcze ostatecznie tytule.

Osobiście mam do pana Błażeja niejaki sentyment (wiadomo, pierworodny!), choć wiem, że generał artylerii koronnej to większy sensat (poza tym nie gada tyle po łacinie, archaizmów też używa z umiarem), a z kolei bohater, którego „noszę w głowie" (też siedemnastowieczny) będzie chyba ciekawszy psychologicznie. Co myślą o Siennickim czytelnicy? Miałem bardzo różne opinie: ustne, listowne, telefoniczne. Z opiniami bywa różnie ale pierwszy tom cyklu wykupiono, drugi idzie (sprawdzałem w księgarniach, słysząc od pań i panów księgarzy bardzo miłe słowa), trzeci wchodzi na rynek. Zobaczymy.

Przyznam się, że „pamiętnikarskie rygory", które sobie narzuciłem, były nieco uciążliwe. Ale do staropolszczyzny w języku nawykłem do tego stopnia, że pisząc prywatne listy, musiałem uważać na składnię i ortografię, a pracując nad książką o generale artylerii koronnej... tłumaczyć w brudnopisie staropolszczyznę — co wychodziła spod klawiszy — na język bardziej współczesny.

Wierszydła, których po kilka jest w każdej z książek tego cyklu wzorowałem na staropolskiej okolicznościowej poezji politycznej i na barokowych erotykach. Udało mi się nawet w czasie pracy nad pierwszą z książek nabrać dwu wybitnych specjalistów, że są to teksty... autentyczne! Obu przepraszam. Nie taję, że w książkach o panu Błażeju wiele zawdzięczam lekturze staropolskich pamiętników, choć niczego nie „ściągałem" — biorąc sytuacje, wyrażenia, składnię, sposoby obrazowania, wzorce obyczajowe. Lista pamiętnikarzy, od których czerpałem inspirację, jest długa. Wszystkim dziękuję.

Jeden z czytelników (znany mi przelotnie) napisał o pierwszym „Błażeju" taką łacińską notę: „Magna cum suavitate librum tuum pervolvi. Neque ego opera magis pesitia rei et vitae nobilum excellentes saepe vidi, neque libros ita illustres stilo saepe legi." — Piękna, klasyczna łacina, nie warto jej psuć tłumaczeniem.

Krytycy pisali o „Diarjuszu z wojny szwedzkiej" różnie. Patrzyli z nieufnością na pamiętnikarski kościec, wydziwiali na łacinę i archaizmy, na nadmiar szczegółów broniozoawczych. Ale i oni zdobywali się na miłe słowa. Co prawda jeden (podkadziwszy mi suto, podyskutowawszy na różne tematy) stwierdził: „A jednak mimo... mimo... i mimo.... książka »nie chwyciła«." — Poznałem go potem przypadkowo. Zapytałem: skąd ta opinia? Wymagająca przecież sondażu rynku księgarskiego (który zresztą ja przeprowadzałem w kilku miastach z całkiem innymi wynikami). On na to: „Wie pan, byłem w księgarni — na Woli czy na Ochocie — i tam mieli jeszcze tę książkę". — Można i tak...

Nie wiem, co będą pisali krytycy o drugim i trzecim „Błażeju", co napisze recenzent „Kameny". Nie mam złudzeń: wielka literatura to nie jest, ale myślę, że uczciwa. I od strony faktograficznej, i od strony tworzywa językowego. Są tacy, co czytają z przyjemnością i tacy, co po kilku stronach odkładają. De gustibus... Mam jednak wrażenie, że mój przyjaciel, jmp. Błażej Siennicki, zdobył tu i ówdzie sympatię. Co jest zasługą jego, nie moją.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

Przed 75 laty

● Miasto nasze poniosło dość znaczny koszt na wybrukowanie bardzo ruchliwej ulicy Okopowej na dystansie ulicy Cmentarnej do Namiestnikowskiej, obecnie cała ta robota chyli się ku upadkowi, gdyż od chwili wybrukowania tej ulicy do obecnej nikt ani jednego razu nie użył miotły, wskutek czego w czasie suchym powstają tumany kurzu, a obecnie błoto pokrywa dość znaczna warstwę bruku, a rynsztoki całkiem zgniły. Jaka przyczyna traktowania tak po macoszemu tej tak ważnej arteŁii komunikacyjnej, po której przejeżdżają setki fur z burakami i rozmaitymi towarami, dowożące do stacji kolei, to dzieje się z tej przyczyny, że naprawdę nie ma kogo pociągnąć do tej roboty, gdyż dotyka tej ulicy z jednej strony mur szpitala wojskowego, a z drugiej grunta folwarku Rury, niepodległe władzom miejskim. Czy wobec tego magistrat miasta nie mógłby wydelegować swoich stróżów chociażby raz na tydzień do zrobienia porządku na tej ulicy?

Gazeta Lubelska

Przed 50 laty

● W Lublinie sposób wydawania węgla pozostawia wiele do życzenia. Każdy kolejarz otrzymuje kilka gatunków kwitów na węgiel, które niestety mają z góry określony termin. Podczas wydawania węgla przychodzą całe masy z kwitami, a węgla zwykle brak. Przy tak zwanym „stemplowaniu" kwitów stoją codziennie olbrzymie kolejki i nieraz po parę dni muszą czekać, żeby węgiel otrzymać, a przed 1-ym najczęściej kolejki ustawiają się jeszcze w nocy, nawet o pierwszej i wcześniej, aby tylko otrzymać już przyznany a nawet często zapłacony węgiel. Nie mówiąc już o stracie czasu, takie wystawanie nocami zdrowiu a nawet życiu grozi.

● Wczoraj w godzinach popołudniowych ukazały się w mieście trzy nowe autobusy miejskie, które swoją budową i wyglądem wzbudziły nieomal sensację. Autobusy wykończone zostały na wzór wozów tramwajowych z platformą wejściową z tyłu. O ile chodzi o wygląd zewnętrzny, przedstawiają się ładnie.

● Jedną z najbardziej bolących kwestii jest już nie tylko lekceważenie publiczności podróżującej autobusami ze strony szoferów i właścicieli autobusów, lecz nieliczenie się absolutnie z niebezpieczeństwem życia na jakie podróżni są narażeni. W dniu 16 b. m. zaszedł fakt, który rzuca jaskrawe światło na tą sprawę. Autobus „Bajadera" kursujący na linii Lublin — Łęczna wyjechał pełen pasażerów do Łęcznej. Na 6-tym kilometrze pod Łaszczowem auto nagle stanęło o mało nie stoczywszy się do przydrożnego rowu. Na pytanie pasażerów „co się stało", szofer oświadczył z obojętną miną, że zepsuło się łożysko i kierownica, o dalszej jeździe nie może być mowy. Przy tym nadmienił, że już w Lublinie zauważył jakiś defekt w motorze, lecz sądził, że uda mu się dojechać do Łęcznej bez wypadku. Można sobie wyobrazić położenie pasażerów na szosie, po kostki w błocie, w odległości kilku kilometrów od siedzib ludzkich. Nie mając innego wyjścia pasażerowie zmuszeni byli wędrować do Łaszczowa lub czekać na drodze aż jakaś przejeżdżająca przypadkowo furmanka weźmie ich ze sobą. Fakt powyższy oświetla najlepiej do jakiego stopnia dochodzi samowola i lekceważenie ludzi przez szoferów.

● Od pewnego czasu dochodzą nas skargi na stosunki panujące w kinie „Apollo". W niedzielę ub. publiczność opuszczała kino wprost oburzona. Zapowiedziano szumnie występ grupy Mierzejewskiego z programem „Zabawki z Warszawki". W wykonaniu programu miało wziąć udział kilkanaście osób z Wierzyńskim na czele. Tymczasem rozczarowanie publiczności na całej linii. Program rozpoczęto przede wszystkim z godzinnym opóźnieniem. Mierzejewski się nie zjawił. Gdy publiczność domagała się Mierzejewskiego, wystąpił jeden z aktorów z oświadczeniem, że o „tym potem" i zarządził przerwę. Na scenie wystąpił jakiś bas, który o śpiewie nie ma najmniejszego pojęcia, wreszcie oświadczono, że Mierzejewski nie przyjechał, bo miał występ w Warszawie. Na sali powstał bałagan — publiczność z oburzeniem opuszczała salę.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała Anna Orzechowska

Kamena str. 12

Sandauer w Lublinie

NIE dociera do Lublina wiele zagranicznych zespołów muzycznych, które publiczność tego miasta chętnie by obejrzała. Nie było tu chyba Abby, a już na pewno nie dotarł zespół Boney M. I żadna to pociecha, że ten zespół nie dotarł także do Białej Podlaskiej czy Zamościa. Zespół muzyczny to nie cyrk objazdowy. Artur Sandauer to poważna firma i też nie jest cyrkiem objazdowym i choć program każdej, czy prawie każdej imprezy literackiej przewiduje jego udział, to jest jednak jasne, że żadnej mistrz nie zaszczyci swą obecnością.

A do Lublina przyjechał. Jasne, że do Białej Podlaskiej nie dotarł, bo go tam nie zapraszano. Kto z mieszkańców Białej miał ochotę posłuchać Sandauera, przyjechał do Lublina. Dotarł więc czołowy krytyk tego miasta — Stanisław Jan Królik. Z Zamościa przyjechało kilku poetów. Dołączyli do kilkusetosobowej grupy słuchaczy przybyłych do gmachu Humanistyki Uniwersytetu MCS.

W Lublinie nie było żadnej imprezy literackiej, jesieni poetyckiej, czy festiwalu literatury. Chyba, że festiwalem nazwać wystąpienie mistrza. Mistrz nie podał tematu, który chciałby zaprezentować. Jak wieść niesie, organizatorzy uzyskali zapewnienie, że po kampanii rozpętanej w „Polityce" przez autora „Ewolucji poezji 1945—68" na plakacie informującym o wykładzie wystarczą słowa: „Spotkanie z Arturem Sandauerem".

Faktycznie wystarczyły.

Sandauer zajął miejsce na katedrze. Obok niego docent Jerzy Święch. Ten ostatni prezentował się lepiej i okazalej. Niestety, mniej mówił.

Sandauer wyjawił, co myśli o swych polemistach (z „Polityki") i ich argumentach. Nie będę tu cytował, bo ukaże się to w „Polityce". Chociaż przypuszczam, że nie wszystko. Zwłaszcza to, co myśli o osobach polemistów.

Zaznaczył też nie bez dumy i satysfakcji: „Kamena" interesuje się moją osobą.

Gdyby nie odnotować tego faktu na łamach „Kameny", mógłby kto pomyśleć, że Sandauer zmyśla. Można użyć słowa „zmyśla", bo choć mocne, mistrza Artura nie powinno dotknąć. Polemiści zarzucali mu nie takie „nadużycia". I nie przyprawiło go to o zły nastrój, czy ból głowy. Jest wesoły. I tego nie sposób nie dostrzec. Skąd bierze się ten pogodny nastrój?

„Kamena", interesująca się osobą Sandauera może odpowiedzieć. (Nie tylko „Kamena" interesuje się osobą A. S. Ekspedientka sklepu, w którym kupuję mleko również. Zestawienie może nie najlepsze, mistrz wybaczy. Po wykładzie ekspedientka zrezygnowała, „Kamena" pozostała wierna). Autor „Ewolucji poezji" jest przekonany o swoim doniosłym odkryciu. I jest dobrze. Gdyby nie spisał swoich przemyśleń — tak utrzymuje — po wielu latach, ktoś obruszony na stan poezji polskiej po drugiej wojnie światowej mógłby zapytać, gdzie był wtedy Artur Sandauer? Sandauera w momencie postawienia pytania zapewne by już nie było, ale pytanie skierowane do niego błąkałoby się niczym dusza nie przewieziona na drugi brzeg Styksu.

Po takiej odpowiedzi, gdyby się nie roześmiano, byłoby źle. Ale się roześmiano i jest dobrze. Ta sytuacja sprowokowała pewną panią do stwierdzenia: Gdy był Pan w Lublinie kilka lat temu, słuchacze zachowywali się bardziej poważnie.

Nie miała odwagi dodać, że Sandauer też był poważniejszy. Teraz się bawi. Nie zawsze swoim kosztem. Przy okazji reklamuje siebie, swoją prozę i poezję żony.

Dyskusja była ożywiona. Sandauer się cieszy. Święch też. Zdarzały się pytania napastliwe. Święch się peszył. Sandauer nie.

Odnotujmy dyskutantów:

Czołowy poeta, krytyk, naukowiec — Bogusław Wróblewski (chyba już w dobrej komitywie z wieloma luminarzami życia kulturalnego; Sandauer do Wróblewskiego per „panie Bogusławie").

Krytyk literacki z Białej Podlaskiej — Stanisław Jan Królik, (Sandauer do niego — „panie kolego"); Przypuszczam, że „kolego" padło zupełnie przypadkowo. Nie przypuszczam, że Sandauer czytuje Królika.

Poeta Tadeusz Kwiatkowski-Cugow.

Prezes Lubelskiego Oddziału ZLP nie mógł przybyć i dlatego pytania nadesłał pocztą. Sandauer zobowiązał się odpowiedzieć listownie.

Inni dyskutanci uważający, że ich głosy były równie ważne co wymienionych, a może nawet ważniejsze, wybaczą, że nie podaję nazwisk.

Dyskusja trwała długo. Pamięć jest zawodna. W ścisku nie mogłem notować. Zauważyłem, że najbardziej zmęczony był docent Jerzy Święch, niekiedy podpowiadał Sandauerowi. (Sandauer do niego per „panie docencie", Święch do Sandauera per „panie profesorze").

Dyskusja zgasła.

Sandauer obiecał, że przyjdzie kolej na prozaików.

Na Sandauera nie przyjdzie. Przysłowie: „Nosił wilk razy kilka" nie dotyczy jego osoby. Krytyków się nie boi. Ostrze krytyki jego się nie ima.

Czy ostrze krytyki Sandauera ima się innych?

Mistrz Artur w to wierzy.

Dawid

Czy państwo lubią Saint-Saënsa?

Stefan Münch

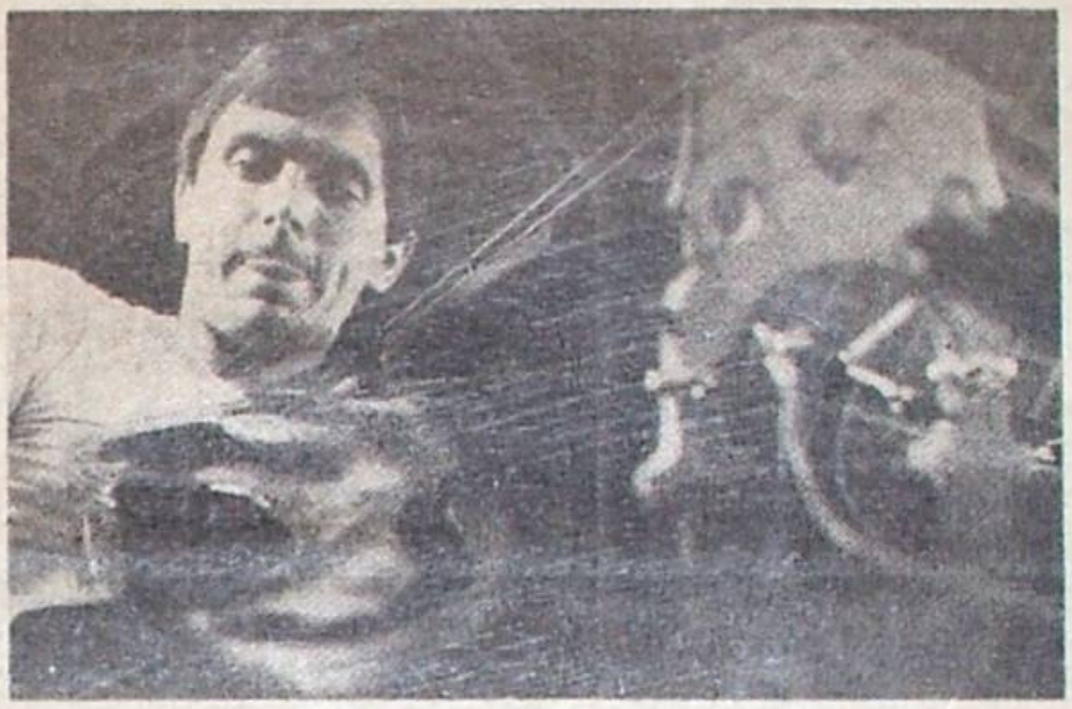

Fot. Jacek Mirosław

ZAKOŃCZONY niedawno Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków nie wzbudził szczególnych emocji, jak bywa w przypadku konfrontacji artystów o ukształtowanej już osobowości, ale pobudził do szeregu refleksji. Wypada zatem rozpocząć od objaśnienia tytułu niniejszych rozważań. Wiąże się on mianowicie ze sprawą założeń programowych Konkursu.

Nie ulega wątpliwości, że lubelskie spotkania młodzieży wiolinistycznej odegrały doniosłą rolę w popularyzacji dobrej muzyki, o czym przekonywała choćby wypełniona sala Szkoły Muzycznej. Podkreślały tę kwestię omówienia prasowe i radiowe; jedno z nich wszakże — myślę o recenzji Stanisława Dąbka, zamieszczonej w *Kurierze Lubelskim* — ukazywało całą rzecz w nieco innym wymiarze. Wynikało z niej, że melomani (w szerokim rozumieniu, bo chodzi też o organizatorów i Jury konkursu) wyraźnie dadzą się podzielić na dwie grupy. Meloman grupy pierwszej (możemy go nazwać naiwnie entuzjastycznym) przysłuchuje się konkursowym produkcjom, jedni uczestnicy bardziej mu się podobają, inni mniej, natomiast sam widok muzykującej młodzieży cieszy jego serce. Meloman drugiej grupy słucha równie uważnie, ale ze wzrastającą irytacją: znowu jakiś Bruch albo Saint-Saëns... Prawdziwy bowiem meloman wie dobrze, czego powinno się słuchać i jaką muzykę można polecić edukującej się młodzieży. Wie, że słuchać trzeba muzyki renesansu, baroku, wiedeńskich klasyków (ale koniecznie wczesnych), no i XX wieku. Kto kocha Vivaldiego, Mozarta, a jeszcze lepiej Strawińskiego, Nono, Xenakisa, ten ma duszę artysty. Kto zaś lubi Beethovena, Wieniawskiego, Lalò, Saint-Saënsa, ten po prostu zupełnie nie orientuje się, jacy kompozytorzy twórczo zapładniają współczesność (to tak, jakby zamiast Cortazara czytywać *Quo vadis*). Ponieważ w przypadku konkursu idzie jeszcze dodatkowo o to, co młodzież powinna grać, recenzenta oburzyło wypełnienie programu XIX-wieczną muzyką, której *przebrzmiała estetyka* i styl są najzupełniej jakoby obce młodym wykonawcom. Trzeba by wobec tego administracyjnymi metodami wypełnić programy radia, telewizji, konkursów i koncertów muzyką słuszną, zaś realizacją tego zamysłu i represjonowaniem opornych mógłby się zająć Stanisław Dąbek.

Oczywiście, upodobania bywają różne. Nie wypada jednak, jak sądzę, ostentacyjnie lansować teorii tyle efektownych, co łatwych do obalenia. Czy rzeczywiście idiom współczesnej muzyki, jej hermetyczna niekiedy estetyka są młodym muzykom najbliższe i czy właśnie tej muzyki należy uczyć kilkunastolatków? Czy będą oni w stanie zrozumieć prawa, jakimi się rządzi, dopóki nie zaznajomią się z tradycją? Co skłania muzykującą młodzież do tłumnego uczęszczania na koncerty beethovenowskie, schubertowskie, brahmsowskie? Co wreszcie powoduje, że najwięksi wirtuozi skrzypiec lat siedemdziesiątych, jak Milstein, Zuckerman, Kremer, Perlman, grywają koncerty Wieniawskiego, Czajkowskiego, Brucha, Vieuxtempsa? Myślę, że wszyscy, którzy mają dostęp do tego, co w historii muzyki najwybitniejsze (choćby dzięki radiu czy płytom) — muzycy, młodzież szkół muzycznych, melomani — dokonują świadomego wyboru. Konkurs Młodych Skrzypków obserwację tę potwierdza.

Program obu grup wiekowych Konkursu wydaje mi się obliczony rozsądnie na miarę możliwości uczestników, potrzeb dydaktycznych, i upodobań publiczności: są tu kompozycje Bacha, Händla, Mozarta, Beethovena, Mendelssohna, Wieniawskiego, Szymanowskiego, a zatem dzieła, bez których nie może się obyć żaden wielki konkurs wiolinistyczny.

W przyszłości konieczne jest umożliwienie najlepszym skrzypkom starszej grupy występu z orkiestrą, co byłoby rzeczywistym sprawdzianem ich dojrzałości i wszechstronności (w tym roku, wskutek niezdecydowania organizatorów, szansy tej młodzież nie otrzymała).

Myślę też, że należałoby zerwać z tradycją (gdzie indziej już zarzuconą) powoływania w skład jury wyłącznie pedagogów, dopuszczając do oceniania konkursowych produkcji także skrzypków koncertujących, dyrygentów i krytyków. Doskonały pedagog, który zna świetnie każdy szczegół danego utworu, nie zawsze musi być najlepszym jego wykonawcą, nie zawsze też jest w najwyższym stopniu sprawnym instrumentalistą. Epoki w dziejach wykonawstwa nie są, niestety, odmierzane nazwiskami pedagogów, lecz solistów: Joachima, Kreislera, Heifetza, Ojstracha, Menuhina.

Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków pozwolił zorientować się w aktualnym stanie i perspektywach „polskiej szkoły" wiolinistycznej, dostarczając odpowiedzi na pytanie o sensowność i efektywność metod kształcenia — w pożytecznej konfrontacji z obcokrajowcami. Otóż, trzeba przyznać, że konfrontacja ta nie wypadła dla nas najlepiej. W grupie młodszej (do 16 lat) I nagrodę otrzymał Gabriel Croitoru z Bukaresztu, II — Chen Le Land z Londynu, III — także Rumun, Bogdan Bobocea, IV — Elżbieta Głąbówna (Lublin), V — Robert Kabara (Przemyśl). Uczestnicy wykonywali w pierwszym etapie I i II część wybranej sonaty na skrzypce i fortepian (kompozytorzy; Bach, Händel, Leclair, Locatelli, Tartini, Veracini, Vivaldi) oraz *Introdukcję i Rondo capriccioso* Saint-Saënsa lub *Scherzo-Tarantellę* Wieniawskiego, tudzież jeden z *Kaprysów op. 10* nr 2, 3, 4 i 5 tego autora. W etapie drugim obok utworu dowolnego grających obowiązywała pierwsza część jednego z następujących koncertów: *A-dur K. V. 219* Mozarta, *e-moll* Mendelssohna, *g-moll* Brucha, *b-moll* Saint-Saënsa, *Symphonie espagnole* Lalò.

W grupie starszej (16—19 lat) I nagrodę przyznano Siergiejowi Teslja z Nowosybirska, II — Lotharowi Straussowi z Berlina, III — Mircea Calinowi z Bukaresztu, IV — Elenie Malcewej z Moskwy i V — Piri Mikkola z Helsinek. Tutaj w pierwszym etapie obowiązywała pierwsza część wybranej sonaty solowej Bacha i dwa kaprysy (jeden z op. 1 Paganiniego, drugi — Wieniawskiego lub Lipińskiego). W drugim etapie — część pierwsza jednej z sonat op. 12 Beethovena, *Romans, Nokturn* i *Tarantella* lub jeden z *Mitów* Szymanowskiego oraz utwór dowolny. W etapie trzecim wykonywano pierwszą część jednego z sześciu koncertów; *Concert militaire* Lipińskiego, *D-dur* Paganiniego, *fis-moll* i *d-moll* Wieniawskiego, *a-moll* Vieuxtempsa i *A-dur* Karłowicza.

Poziom uczestników — trzeba to przyznać — był nierówny. Fakt dopuszczenia tak licznej grupy polskiej bez żadnych wstępnych eliminacji spowodował, że niektórzy skrzypkowie prezentowali elementarne braki warsztatowe. Werdykt jury, któremu przewodniczyła prof. Irena Dubiska, premiował chyba istotnie najlepszych. Moim zdaniem skrzywdzono tylko Le Landa, obdarzonego wyjątkową muzykalnością i dojrzałością, podczas gdy Croitoru mógł imponować wirtuozowską techniką, nie zawsze idącą w parze z wrażliwością. Na tle eleganckiego, klasycyzującego Straussa, dynamicznego Calina czy lirycznego Teslji nasza młodzież wypadła blado, szczególnie w grupie starszej — a przecież nie jest mniej uzdolniona od swoich radzieckich i rumuńskich rówieśników. Czyżby zatem nasz system edukacyjny okazywał się metodą kształcenia średnich muzyków, a krępował swobodny rozwój młodzieży prawdziwie utalentowanej?

KRONIKA KULTURALNA

● 21 października odbyła się inauguracja kolejnego roku akademickiego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w której m.in. uczestniczyli: prymas Polski, ks. kardynał Stefan Wyszyński oraz kierownik Urzędu do spraw Wyznań, minister Kazimierz Kąkol. W uczelni studiuje ponad 2500 osób.

● Wybitny historyk, współorganizator Wydziału Humanistycznego UMCS, prof. dr hab. Juliusz Willaume został udekorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Serdecznie gratulujemy Profesorowi, który niedawno obchodził 55-lecie pracy naukowej.

● Członek-korespondent PAN, prof. dr hab. Witold Czachórski z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał doktorat honoris causa UMCS. Jeden z najwybitniejszych znawców prawa cywilnego i porównawczego wykładał niegdyś na lubelskiej uczelni i do dziś nie stracił z nią kontaktu naukowego.

● 23 października, a więc dokładnie w 25 rocznicę powstania UMCS, rozpoczęła się w Lublinie dwudniowa sesja naukowa pn. „Środowisko przyrodnicze, społeczne, cywilizacja i człowiek", podczas której referaty wygłosili przedstawiciele nauk humanistycznych, przyrodniczych, medycznych i technicznych.

● W przekonaniu, że mamy do czynienia z instytucją tyle gospodarczą, co obecną w kulturze polskiej informujemy w tej rubryce, że Państwowa Stadnina Koni w Janowie Podlaskim otrzymała Order Sztandaru Pracy II klasy. Dyrektorowi A. Krzyształowiczowi i całej załodze życzymy wszelkiej pomyślności oraz szybkiego otwarcia muzeum konia w Janowie.

● Milion złotych kosztowała adaptacja budynku, w którym od kilkunastu dni mieści się dom kultury chełmskich kolejarzy, oddany do użytku w 30-lecie działalności kulturalnej ZZK przy tamtejszym węźle PKP. Placówka liczy osiem pomieszczeń o łącznej powierzchni ponad 400 m. kwadr.

● 10 lat aktywnego istnienia obchodzi Fotoklub Ziemi Chełmskiej, kierowany przez Edmunda Fladrzyńskiego, skupiający obecnie kilkunastu członków i od dłuższego czasu organizujący ogólnopolski konkurs fotograficzny pn. „Sztuka ludowa". Nasze gratulacje.

● Niestrudzony prezes Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, Wincenty Piatak, opracował informator „Hrubieszów i okolice", w 10 tysiącach egzemplarzy wydany przez wojewódzkie ośrodki informacji turystycznej w Lublinie i Zamościu. Zachęcamy do kupna, jeśli jest jeszcze w księgarniach.

● Kto pamiętał „Wystawę Plastyków Amatorów i Nikifora", urządzoną w 1956 roku w Lublinie (komisarzem był Julian Kot czyli Wiktor Ziółkowski), ten mógł porównać ówczesne i obecne rysunki Józefa Tarłowskiego, uczestnika wspomnianej ekspozycji autora pokazu, który czynny był w październiku w Klubie MPiK przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie.

● Kolejna ekipa filmowa pojawiła się w Lublinie. Tym razem reżyser Bohdan Poręba realizował na cmentarzu przy ul. Lipowej sekwencje swojego nowego obrazu pt. „Polonia Restituta". Dodajmy, że przed opuszczeniem miasta zespół złożył wieńce i kwiaty u stóp pomnika Ofiar Majdanka.

● Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. C. K. Norwida w Lublinie obchodziło 30 rocznicę swojej wyjątkowo pożytecznej działalności, o której poziomie mogła chociażby świadczyć wystawa, obrazująca dorobek szkoły. Gratulując zapowiadamy szersze przedstawienie historii i spraw współczesnych liceum w jednym z najbliższych numerów pisma.

● Deklarujemy poparcie dla zasady urządzania publicznych dyskusji nad projektami, które powstając w pracowniach naszych architektów, bezpośrednio wiążą się z interesem zbiorowym i dzięki swej naturze mogą być ewentualnie korygowane przez ludzi spoza branży. Tym samym z uznaniem odnotowujemy dyskusję nad projektami rekreacyjnego zagospodarowania doliny Bystrzycy i Starego Lasu, jaka odbyła się 26 października w Klubie MPiK przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Do samych projektów powrócimy w „Kamenie".

● Wiele odznaczeń, medali, elementów umundurowania, oporządzenia żołnierskiego i broni zgromadził Janusz Kuryłło, nauczyciel z Kraśnika. Związane głównie z drugą wojną światową, pamiątki te można oglądać w szkolnej Izbie Pamięci Narodowej w Olbięcinie.

● „Kronika" prosi o wybaczenie, choć wcale nie z własnej wyobraźni czerpała informacje, dzięki którym podała niewłaściwy termin „Dni Zamościa w Łucku". Otóż zakończyły się one niedawno, bo 20 października. Najważniejsze jednak, że oferta zamojska spotkała się w zaprzyjaźnionym mieście z dużym zainteresowaniem i sympatią.

Dziesięć pytań dla Gregory Pecka

W związku z nową rolą aktora amerykańskiego Gregory Pecka, który wcielił się tym razem w postać jednego z najokrutniejszych zbrodniarzy hitlerowskich, pismo „Schweitzer Ilustrierte" przeprowadziło wywiad z artystą. Mimo obcesowego, a niekiedy nawet niedyskretnego charakteru niektórych pytań, Gregory Peck odpowiada na nie z całkowitą otwartością.

— W ostrym, politycznym filmie „Chłopcy z Brazylii" gra pan rolę Josepha Mengele. Jak się pan czuł kreując tę złowieszczą postać? Przecież w swej długiej karierze artystycznej grał pan z reguły role bohaterów pozytywnych?

— Czułem się jak człowiek, który coś sobie sam ukradł.

— Nie obawiał się pan rozczarowania publiczności, która ujrzy pana jako faszystę, winnego zbrodni masowego ludobójstwa?

— Oczywiście — nie! Przecież jestem Gregory Peck, a nie Joseph Mengele. Sądzę także, że widzowie z dużym zainteresowaniem śledzić będą poczynania mego negatywnego bohatera, ponieważ wszyscy przywykli, że gram wyłącznie postaci pozytywne. Ale — powtarzam — Mengele to postać nie tylko negatywna, ale niestety — zupełnie realna. Oto dlaczego postanowiłem wcielić się w postać tego przestępcy wojennego i pokazać, jak bardzo niebezpieczni mogą być ludzie jego pokroju.

— Jest pan często porównywany z Gary Cooperem. Czy słusznie?

— To porównanie prześladuje mnie już od dawna, ale w końcu ludzie doszli do wniosku, że mam swoją własną twarz. Ale zresztą ważne są nie podobieństwa, lecz indywidualność aktorska.

— Pana pierwszym sukcesem był film „Oczarowana". Dzięki niemu chyba wybił się pan w Hollywood?

— Niewątpliwie, i trzeba jeszcze dodać, że film ten zainteresował Amerykanów od innej strony: nagle stała się modna psychoanaliza.

— Skoro już jesteśmy przy psychoanalizie. Łączy się to w pewien sposób z tragedią w pańskiej rodzinie — samobójstwie pańskiego syna Jonathana. Czy wyjaśnił pan prawdziwe okoliczności tej śmierci?

— Niestety — nie, i zapewne nigdy nie potrafię tego zrobić. Jonathan odszedł od nas w zupełnym spokoju, nie pozostawiając niczego, co mogłoby podpowiedzieć nam przyczynę. Nigdy nie było między nami sprzeczek ani kłótni, żył w zdrowej, spokojnej atmosferze.

— W Hollywood mówi się, że Jonathan stał się ofiarą narkotyków.

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale w Hollywood zawsze o czymś się szepce, na czyjś temat spekuluje. Jeśli pan tego nie wie, powiem wprost: Hollywood to największy w świecie chlew, albo — jeśli pan woli — przystań dla najpotworniejszej hołoty, jaką tylko można sobie wyobrazić.

— I mimo to mieszka pan i pracuje w Hollywood?

— Od razu ustalmy: prócz łajdaków są tu i ludzie uczciwi, którzy traktują swą pracę poważnie.

— Czym wytłumaczy pan, że tyle osób stara się dostać do Hollywood?

— Pragnieniem sukcesu za wszelką cenę, po trupach. Wielu Amerykanów, niestety, sprzedałoby własną matkę, jeśliby to miało przynieść im pieniądze, uznanie i sławę.

— Co pan sądzi o praktykach amerykańkich środków masowego przekazu, które na co dzień propagują przemoc i okrucieństwo?

— W „Chłopcach z Brazylii" po raz pierwszy zagrałem rolę „wyrafinowanego" zbrodniarza. Czy potępia mnie pan za to?

— Nie, ponieważ wiem, że jest panu obca wszelka przemoc. Ale jak łączy pan te swoje poglądy ze wspomnianą kreacją filmową?

— Powtarzam raz jeszcze. Nie przypadkiem ukazałem postać Josepha Mengele tak, aby wywołała u widza odrazę i zgrozę. Ale to nie jest żaden „horror". To przypomnienie czasów, które nie mogą się powtórzyć.

(gk)

GÓRA AMPER — TO NIE ATLANTYDA

Wiosną br. obległa cały świat sensacyjna wiadomość o odkryciu Atlantydy. Powoływano się na materiały uzyskane podczas rejsu radzieckiego statku oceanograficznego „Witeź", który miał wykonać serię podwodnych zdjęć na Atlantyku w rejonie między Maderą a Portugalią. Jak się okazało była to jeszcze jedna sensacyjna pogłoska o Atlantydzie. Zdjęcia ujawniły na szczycie zatopionej góry obiekty przypominające fragmenty murów i schodów, a ponieważ w tej części oceanu tradycyjnie już lokalizowano Atlantydę, łatwo było skojarzyć tajemnicze rumowisko głazów z zatopionym miastem.

Co naprawdę znaleziono na dnie Atlantyku? Na ten temat wypowiedzieli się na łamach radzieckiej prasy: zastępca dyrektora Instytutu Oceanologii Akademii Nauk ZSRR — dr Andrej Aksienow oraz dr Władimir Marakujew, który kierował pracami przy próbach podwodnej kamery. Za pomocą tej kamery wykonano serię zdjęć. Jak stwierdzili radzieccy uczeni, zdjęcia zostały wykonane dużo wcześniej — w grudniu 1973 r. przez radziecki statek oceanograficzny „Akademik Piotrowski", który prowadził badania na wodach w pobliżu północno-zachodniej Afryki.

Radziecka ekspedycja prowadziła wówczas badania podwodnego archipelagu Podkowy. Jest to zatopiony łańcuch górski pochodzenia wulkanicznego, znajdujący się w odległości ok. 200-300 mil morskich na południowy zachód od Gibraltaru. Przy okazji prób z nową kamerą głębinową wykonano serię zdjęć w pobliżu podwodnej góry Amper. Ma ona, podobnie jak większość znajdujących się w tej części Atlantyku górskich grzbietów, płaski wierzchołek. Znaleziono tu dziwne skupiska głazów, które nie mogą być tworem natury. Ustalono, że są one dziełem człowieka.

Specjaliści od fotointerpretacji, którzy bardzo szczegółowo badali zdjęcia rozpoznali zarys ściany o wysokości ok. 3,5 m zbudowanej z wielkich, luźno ułożonych, ale dopasowanych bloków skalnych. Inne zdjęcia przedstawiają tę samą ścianę widzianą z góry, co pozwala określić jej grubość na około 75 cm. Na dalszych zdjęciach widoczne są zarysy schodów. Rozpoznano nawet 5 rozmieszczonych regularnie stopni, jednak morska roślinność i zastygły strumień lawy zaciemniają obraz.

Podwodne grzbiety ciągnące się od Gibraltaru aż po Azory, znajdują się na głębokości ok. 50—60 m pod powierzchnią oceanu. Cały ten rejon jest bardzo aktywny sejsmicznie. Prawdopodobnie niektóre wierzchołki mogły być kiedyś małymi wyspami, wystającymi nad powierzchnię morza. Nie wykluczone, że w III—II tysiącleciu p.n.e. niektóre z wysp były zamieszkałe. Nie była to jednak ani Atlantyda, ani też żadna wielka cywilizacja. Bardziej prawdopodobne jest istnienie niewielkich miast, czy faktorii handlowych. Radzieccy uczeni wyrażają opinię, że warto bliżej zająć się tajemniczymi ruinami.

ekran i widz

DNI FILMU RADZIECKIEGO

JAK co roku, znowu mamy w listopadzie okazję prześledzenia szeregu najnowszych pozycji kinematografii radzieckiej oraz możliwość spojrzenia na to, co najbardziej wartościowego wniósł film radziecki do kina światowego. Tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego rozpoczęły się 5 listopada i potrwają do końca miesiąca, a mają tym większe znaczenie, że wiążą się z obchodami 60-lecia kina Kraju Rad. 27 sierpnia 1919 r. Lenin podpisał słynny „Dekret o przejęciu przez Ludowy Komisariat Oświaty zarządu nad handlem i przemysłem fotograficznym i filmowym".

Na czele przybyłej do Polski czterdziestoosobowej delegacji radzieckich filmowców stoi przewodniczący Komitetu do spraw Kinematografii ZSRR Filip Jermasz, wśród gości znajduje się pięciu wybitnych reżyserów: Josif Chejfic, Gieorgij Danielija, Siergiej Gierasimow, Andrej Michałkow-Konczałowski i Andriej Tarkowski. Reprezentują oni i tradycję i współczesność kina radzieckiego.

Uroczysta inauguracja Dni odbyła się w katowickiej hali sportowej; tamtejsza publiczność obejrzała najnowsze dzieło Andrieja Michałkowa-Konczałowskiego „Syberiada". Zrealizowaną z ogromnym rozmachem epicką opowieść o przemianach, jakie zachodziły na Syberii od początku XX stulecia aż po dzień dzisiejszy, gdy przekształcała się ona z malowniczego odludzia w region eksploatujący tamtejsze ogromne bogactwa naturalne, szeroka polska publiczność będzie mogła obejrzeć, niestety, w terminie późniejszym, kiedy zostanie wyprodukowana odpowiednia liczba kopii gigantycznego, trwającego bez mała cztery godziny, filmu.

Do powszechnego rozpowszechniania wejdzie natomiast w listopadzie dziesięć innych najnowszych filmów radzieckich: dwie dalsze części wojennego fresku o obronie Leningradu „Blokada" Michaiła Jerszowa („Leningradzki metronom" i „Operacja" „Iskra"), „Ojciec Sergiusz" w reżyserii Siergieja Bondarczuka (film powstały w oparciu o znane opowiadanie Lwa Tołstoja), „Wyznanie miłości" Ilji Awerbacha, „Dramat na polowaniu" Emila Lotianu, „Pięć wieczorów" Nikity Michałkowa, „Piąta pora roku" Olega Nikitina, „Szkrab" Ajwara Frejmanisa, „Jeśli odejdziesz..." Nikołaja Litusa i Witalija Szuńko, „Stepowy rumak" Chalmamieda Kakabajowa oraz „Szukaj wiatru" Władimira Lubomudorowa.

Jeśli chodzi o przegląd retrospektywny, to znajdzie się w nim 12 filmów oddających istotę rozwoju radzieckiego kina — od „Pancernika Potiomkina" Eisensteina po „Lecą żurawie" Kałatozowa. Najprawdopodobniej będziemy mogli obejrzeć nareszcie „Que viva Mexico!" Sergiusza Eisensteina, film, który znany był dotąd jedynie z opracowań historycznych, z nielicznych ujęć prezentowanych na specjalnych pokazach i ze wspomnień samego Eisensteina i jego współpracowników. „Que viva Mexico!" realizowany w Meksyku na początku lat trzydziestych nigdy nie został doprowadzony do końca, a materiały wyjściowe przeleżały kilkadziesiąt lat w archiwach amerykańskich, zanim — w ostatnim czasie — nie przekazano ich Związkowi Radzieckiemu. Zmontowany przez ówczesnego współpracownika Eisensteina, Grigorija Aleksandrowa, film — według notatek pozostawonych przez wybitnego reżysera otworzył tegoroczny XI Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Moskwie; jego pierwsza projekcja na międzynarodowym forum stała się wydarzeniem kulturalnym i historycznym.

Wróćmy jednak do współczesności. Spośród dziesięciu filmów wchodzących w listopadzie na nasze ekrany — pomijając „Blokadę" kolejne dzieło Sergiusza Bondarczuka, które nie wymagają komentarzy i zawsze znajdą wdzięcznych widzów — autor niniejszej rubryki chciałby zwrócić uwagę na trzy nazwiska reżyserów: Ilji Awerbacha, Emila Lotianu oraz Nikity Michałkowa. Ten ostatni, brat Andrieja Michałkowa-Konczałowskiego (zarazem odtwórca jednej z głównych ról w „Syberiadzie") jest czołowym przedstawicielem młodego radzieckiego kina. Debiutował filmem „Sam wśród obcych, obcy wśród swoich", baczną uwagę zwrócił na siebie „Niewolnicą miłości", ale światowy sukces, wsparty główną nagrodą na festiwalu w San Sebastian, przyniosła mu doskonała, bardzo osobista interpretacja „Płatonowa" Antoniego Czechowa — „Niedokończony utwór na pianolę". Niezwykle wrażliwy, sięgający najchętniej w regiony psychologii, charakteryzujący się świeżością spojrzenia i umiejętnością twórczego wykorzystywania doświadczeń kina światowego, wziął tym razem Michałkow na warsztat drugą połowę lat pięćdziesiątych w Związku Radzieckim, ukazując — na przykładzie dwojga ludzi spotykających się po latach — klimat i atmosferę tamtych czasów. „Pięć wieczorów" jest filmem, który każdy miłośnik dobrego kina powinien zobaczyć.

To samo tyczy się „Wyznania miłości" Ilji Awerbacha subtelnego obserwatora psychiki współczesnego człowieka, autora „Monologu" i przenikliwych, niekonwencjonalnych „Cudzych listów", tak ogromnym powodzeniem cieszących się na naszych ekranach w roku ubiegłym.

Głównego reprezentanta kina mołdawskiego, Emila Lotianu, nie trzeba chyba rekomendawać: autor „Czerwonych połonin", „Lautarów" i „Taboru wędrującego do nieba", tak umiejętnie potrafiący łączyć widowiskowość z poezją, plastykę z muzyką, a swoje opowieści o Cyganach z refleksją o rodzaju ludzkim w ogóle, tym razem prezentuje wynikający ze stylistyki poprzednich filmów „Dramat na polowaniu". Podobnie jak w przypadku „Taboru...", autor oparł się na jednym z opowiadań Czechowa.

Na koniec, dla miłośników kina w Lublinie i w Chełmie dodatkowa wiadomość: w czasie Dni Filmu Radzieckiego spotka się z nimi Gieorgij Danielija, twórca doskonałych współczesnych komedii. Zapamiętaliśmy szczególnie jego „Afonię" i ostatnią, „Mimino", i pewnie też filmy te będziemy mogli obejrzeć w czasie spotkania z reżyserem.

M.D.

POCZTA literacka

J. K. Stalowa Wola. Widzę w Pana wierszach pewną „dookolność" wypowiedzi lirycznej, która osłabia się wyrazu. Poezja jest mową wprost, a Pan postępuje jak prozaik, który nie mogąc powiedzieć o zjawiskach najbliżej go otaczających umieszcza akcję powieści w obcym kraju, przenosi ją w zamierzchłe czasy itp. Stąd ten cały kulturowy sztafaż, który zbliża utwór poetycki do eseju. Powie Pan, że i na to przykłady znajdą się we współczesnej poezji. Z pewnością padnie tu nazwisko Herberta. Krytyka literacka nie uwzględnia, że jest to Herberta strona jeśli nie najsłabsza, to z pewnością nie najmocniejsza. Posługiwanie się tzw. archetypami kulturowymi to korzystanie z prefabrykatów. Dobre przy budowie osiedla mieszkaniowego, ale nie wiersza. Wiersz który jest domem poety, powinien składać się z jego własnych materiałów i jego własnej robocizny. Wyłącznie.

H. J. Bystrzejowice. Muszę przyznać, że z pewną nieufnością podchodzę do tak znacznego pliku wierszy. Jakoś mimo woli nasuwa mi to skojarzenie z robotą na ilość. Jakoż i tym razem instynkt starego lektora mnie nie zawiódł. Są to teksty nie o rzeczach najważniejszych dla poety, obrazki rzucone mimochodem, wersecik nie pogłębione, pochopne, często powtórzone widocznie z braku autorskiej pamięci przy tak znacznej wydajności ilościowej. Proponuję większą kondensację słowa i większą koncentrację autora. Czy mam podać przykłady poetów, którzy do historii literatury przeszli kilkoma cienkimi tomikami?

K. F. Sandomierz. W prozie rzecz nie polega na tym, by sprokurować tekst nawet wyróżniający się sprawnością stylu, ale sprawnością nie najwyższej próby, sprawnością wyprowadzoną z pozycji dobrego wypracowania szkolnego. Jeśli nie ma Pan swojej wizji świata, swoich ze światem porachunków i pojednań, nie ma po co obmyślać frapujących fabułek. Pozostaną czymś w rodzaju ozdób, podczas gdy trzeba wyłożyć tzw. nagą prawdę. Nie mówię tego dla ubrania w jakąś szatę odpowiedzi odmownej. Mówię dlatego, że szkoda by było, gdyby opanowana pewna sprawność warsztatowa nie miała się przydać do wyrażenia jakiejś idei. Tylko jaka to ma być idea? Od Pana zależy. Ja myślę, że najlepiej czułby się Pan w satyrze obyczajowej. Jakaś groteska, jakaś arabeska. Tylko niech to nie będzie bez zaplecza światopoglądowego. A zatem — pomyślności.

G. L. Stalowa Wola. Gdybym z tych tekstów miał wyciągnąć wyłącznie ich treść filoficzną, czułbym się jako czytelnik w znacznym stopniu zaspokojony. Zawierają wiele stwierdzeń ciekawych, oryginalnych, zastanawiających. Ale kiedy miałbym te teksty potraktować od strony poetyckiej, natknąłbym się na pewien kłopot. Wcale nie widzę w nich troski o możliwie największą siłę wyrazu, o sugestywność słowa, o narzucenie autorskiego poglądu środkami ekspresji artystycznej. Zgadzam się. Ale to grubo za mało jak na skutek utworu poetyckiego. Myślę, że w tym, co Pan pisze, za mało jest wyznania, odsłonięcia siebie, a przecież jest to liryki warunek pierwszy. Czy zechce Pan uwzględnić moje uwagi? Czy powoła się Pan na „poesis docta", która ma, czy miała wielu zwolenników, a Panu zdaje się odpowiadać? Nie wiem. W każdym razie sygnalizuję, że odebrałem wrażenie czczości, czegoś nie w pełni sycącego.

M. N. Lublin. Jest to cecha w ogóle współczesnej poezji, ale w Pana wierszach nabrała szczególnej widoczności. Ta skłonność do destrukcji. Zgadzam się: żeby wprowadzić w życie wartości przez siebie uznawane, trzeba najpierw oczyścić dla nich miejsce. Ale jak długo ma trwać ta czynność asenizacyjna? Kiedy wreszcie będę miał możność zaznajomić się z tym, co Pan od siebie proponuje? Jeśli nie mamy projektu nowej budowli, nie warto nawet trudzić się z wyburzaniem starej. Jako czytelnik muszę wiedzieć w czym asystuję autorowi, dla jakich treści mam aprobować jego światoburczą pasję. Inaczej traktuję jego poezję tylko jak „mocne uderzenie", zabieg mający na celu wywołanie szoku, a nie zgody na wniesioną przez autora światopoglądową propozycję.

L. C. Kock. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem te utwory, bo wyczułem w nich ciekawą próbę formowania osobowości autora z dala od manier, nawyków i gestów praktykowanych we współczesnej „oficjalnej" poezji. Chciałbym tylko przestrzec przed czymś, co nazwał bym maniera s'rebours. „Naturszczyk" jest interesujący do pewnego czasu: dopóki nie przesiąknie stylistyka zaczerpnięta z lektur. Trudność polega na tym, by zachować samego siebie w kontakcie z innymi indywidualnościami, a przecież musi się to kiedyś stać na zasadzie konieczności, bo koniecznością jest stawianie kroków następnych po już postawionych. Chętnie zaznajomię się z pańskimi następnymi tekstami.

P. A. S. Żagań, J. B. Wyszków, F. P. Kraków, R. M. Będzin, W. K. Łódź, M. B. Końskowola — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 23)

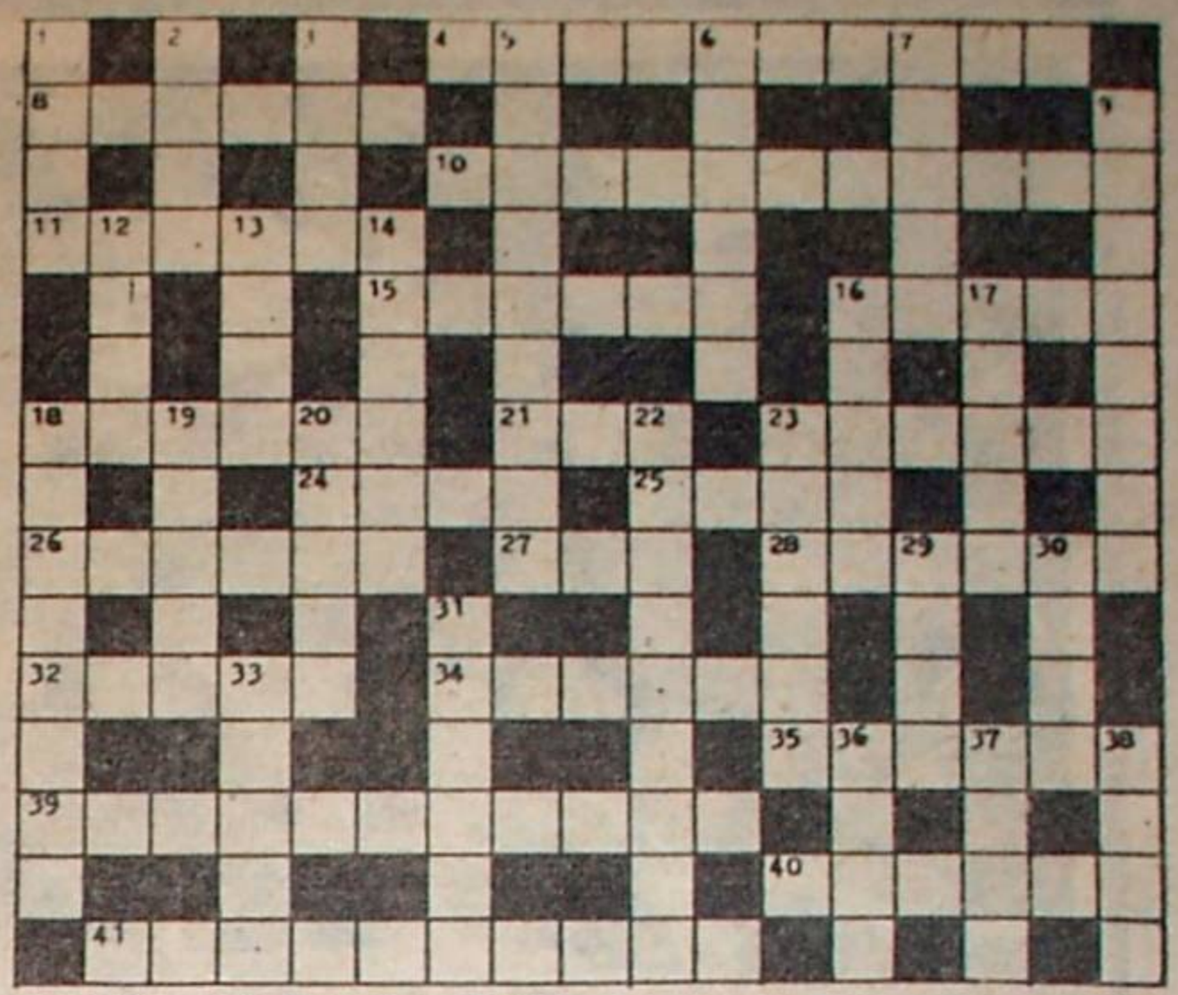

Poziomo: 4. wybitny współczesny kompozytor polski, twórca opery „Raj utracony", 8. czasopismo poświęcone filmowi amatorskiemu, 10. światowej sławy polski filozof i historyk sztuki, autor „Rozwoju nowożytnej filozofii człowieka", 11. północnoamerykański renifer, 13. metal szlachetny, 16. kolekcja, 18. wózek z jednym kółkiem, 21. x, 23. na grzbietach wierzchowców, 24. zawiadomienie o nadejściu przesyłki, 25. danie obiadowe, 26. dawna dzierżawa, 27. siła, 28. w obrządku katolickim cztery niedziele przed Bożym Narodzeniem, 32. zły duch z „Matki Joanny od Aniołów", 34. owad, 35. kraj wyspiarski, 39. nauka o odrzucaniu obcych ciał przez organizm, 40. pisarz polski, laureat tegorocznej nagrody „Trybuny Ludu", 41. polski reżyser filmowy, zdobywca Grand Prix na Festiwalu w Moskwie.

Pionowo: 1. w dal lub wzwyż, 2. oliwa lub towot, 3. drzewo liściaste, 5. tendencja do zjednoczenia chrześcijaństwa, 6. nadzorca prac rolnych na folwarku, 7. codzienne jedzenie, 9. stopień podoficerski, 12. część świata, 13. hiszpańskie imię żeńskie, 14. sejmowy akt prawny, 16. rozpoznanie, 17. państwo w Azji, 18. ostatnio zmarły poeta z Chełma, 19. miasto rodzinne „Kameny", 20. pisarz polski okresu międzywojennego, autor „Czarnych skrzydeł", 22. smarkacz, mały pasak, 23. starogreckie państwo, słynące z wojowniczości, 29. nieprzyjaciel, 30. na szpulce, 31. zmętnienie rogówki oka, 33. zastępują je skarpetki, 36. prąd, 37. miesiąc, 38. schronienie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21

POZIOMO: Nowotko, obrazek, osika, szuba, Ornak, raty, kloc, klarnet, skrzat, kropla, kot, San, Szabelski, Rej, lis, Arawak, ojciec, narkoza, urok, step, rusztowanie, bonza, korab, Karajan, salmiak.

PIONOWO: natrysk, oczy, kobalt, osa, oko, Bartek, arak, kołczan, start, klaps, Gralewski, kształt, trakcja, koper, lanie, ratunek, jawor, lista, sceptyk, kaczka, ozdoba, kufa, Szum, ton, bas.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 21 bony książkowe po 10 zł każdy wylosowali: Irena Skibińska 20-089 Lublin, Szenwalda 34/35, Eugenia Bożyk 20-218 Lublin, Hutnicza 28/3, Zofia Piasecka 20-416 Lublin, 1 Maja 37/4, Adam Małodobry 22-400 Zamość, Robotnicza 4.

Listy do kameny

Dokończenie ze str. 3

rozproszonej młodzieży literackiej małych miasteczek i osiedli — literacką młodzież robotniczą otaczał mecenatem i organizował Związek Młodzieży Socjalistycznej. (W Lubelskiem patrz „Biuletyn Młodego Twórcy", organ ZMS w Lublinie). Współredagował go m. in. Zbigniew Strzałkowski, wymieniony przez Żurka jako współzałożyciel LO KKMP, do którego faktycznie dołączył znacznie później.

Inna nieścisłość: w okresie utworzenia Lubelskiego Ośrodka KKMP działał w Lublinie „Prom" (patrz antologia pod tym samym tytułem wydana w Lublinie) grupujący lubelską młodzież literacką. Warto dodać, iż pierwszym przewodniczącym LO KKMP był Jerzy Mataczyński, wywodzący się właśnie z „Promu".

Gwoli sprawiedliwości wśród najstarszych, działających wówczas aktywnie w Klubie członków wymienić należy kol. kol.: Annę Buczek-Wolską, Krystynę Makułę-Trochimiuk, Violettę Szorc, Marię Ballod, Jerzego Gutowskiego, Wacława Gutowskiego, Mariana Karczmarczyka, Józefa Malka, Jerzego Rozwadowskiego, Adama Sikorskiego, Eugeniusza Szpaka, Romana Szpalę, Jerzego Witka, obok wymienionych przez Żurka.

Działalność szeregu członków LO KKMP wyróżniona została nagrodami lokalnymi, przyznawanymi z okazji „Dnia Działacza Kultury", a także Złotymi i Srebrnymi Honorowymi Odznakami ZMW oraz „Zasłużonego Działacza Kultury".

Może i o tym warto pamiętać na 15-lecie Klubu, sięgając do powszechnie dostępnych źródeł choćby do ukazującego się ponad 10 lat na łamach gościnnej „Kameny" dodatku „Zapole".

Jerzy Jedziniak

W TYM ROKU NIE JA

Wszystkich zainteresowanych Ogólnopolskim Konkursem Poetyckim im. Jana Spiewaka uprzejmie informuję, że w roku bieżącym nie jestem inicjatorem ani też współorganizatorem X Jubileuszowego Konkursu, rozstrzygnięcie którego przewiduje się na koniec listopada w Świdwinie. Jako długoletni komisarz tej imprezy uważam za swój obowiązek powiadomić o tym, ażeby sukcesy jej nie zostały pomylkowo przypisane mnie.

Stanisław Misakowski

„BEZ WAGI NIE MA ŻYCIA"

Latem przeczytałam w „Kamenie" (nr 14) artykuł o Lubelskich Fabrykach Wag, w którym autor wspominał o ewentualnych oporach personelu sklepów z artykułami spożywczymi, przede wszystkim mięsnymi, przed wprowadzaniem do codziennej praktyki handlu wag z odczytem elektronicznym. Urządzenia te mogłyby bowiem okazać się bardzo nie „na rękę" sprzedawczyniom, ponieważ podawałyby wagę towaru i należność w złotówkach oraz groszach. Nikt już nie mógłby „zaokrąglać" wagi produktów i ich wartości pod kątem własnego interesu, co na pewno zdarza się dzisiaj.

Niedawno, na początku października, odwiedziłam sklep Centrali Rybnej przy ul. Chopina w Lublinie, gdzie z zadowoleniem spostrzegłam wiadomą wagę. Szybko jednak zorientowałam się, że ekspedientka używa starej wagi, tzw. uchylnej, która jest podatna na różnego rodzaju manipulacje. Nie chcę jednak wyciągać zbyt pochopnych wniosków i przez swoje domysły stawiać w złym świetle personel tego sklepu, bardzo zresztą sprawny i uprzejmy. Ciekawi mnie jednak, dlaczego nie używano w tej placówce wagi zdecydowanie dokładniejszej i pod innymi względami lepszej?! A może wagi elektroniczne po prostu zawodzą w praktyce?!

Marianna Kłos
Lublin

Od redakcji: Wydaje nam się, że na pytanie naszej Czytelniczki powinny odpowiedzieć obie zainteresowane strony: Centrala Rybna i Lubelskie Fabryki Wag. Sprawa nie jest wcale błaha, choć nie wykluczone, że w tym konkretnym przypadku unieruchomienie wagi spowodować mogły jakieś dodatkowe okoliczności, przynależne do tzw. racji obiektywnych, np. przerwa w dopływie prądu elektrycznego.

PTASZEK PRYSKA

(...) Chodzi o ptaszka wymalowanego na ścianie szczytowej budynku w osiedlu Krasińskiego na LSM, widocznego w całej okazałości od ul. Zana. To wielkie malowidło popękało już w kilku miejscach i będzie chyba pękać dalej, jeśli nie podejmie się jakichś działań konserwatorskich. Nie po raz pierwszy okazuje się, że dobry pomysł — mam na uwadze Lubelskie Spotkania Plastyczne — traci u nas w momencie realizacji i to z powodów zupełnie prozaicznych, w tym przypadku — niskiej jakości użytych farb.

Druga sprawa z tego zakresu to kamienna rzeźba bliżej nieokreślonego zwierzęcia, prawdopodobnie niedźwiedzia, która stoi na skwerze między ulicami Zana a M. Brzeskiej w osiedlu Prusa. Wszystko wskazuje, że jest to praca nie dokończona przez autora. Pora więc zapytać, kiedy ostatecznie ten kamień zamieni się w rzeźbę? Postawiony na wspomnianym miejscu bodaj w czerwcu, zupełnie nie spełnia roli elementu dekoracyjnego, cieszącego oko swoim kształtem, lecz przeciwnie — jest przedmiotem ironicznych uwag, a po części irytacji mieszkańców okolicznych bloków. Oficjalnie, jak czytałem kiedyś w „Kamenie", Lubelskie Spotkania Plastyczne zostały już zakończone. Fakt ten nie powinien jednak zwalniać gospodarzy imprezy z okresowego przeglądu dzieł powstałych na LSM.

Marian Kowalczyk
Lublin

SZTUKA KOCHANIA

Ucichły już polemiki wokół książki Michaliny Wisłockiej pt. „Sztuka kochania", tak jak i samo wydawnictwo znikło z księgarń, gdzie zresztą sprzedawano je spod lady, co samo w sobie można uznać za przyczynek do wspomnianych dyskusji. Książka okazała się potrzebna, to nie ulega wątpliwości. Mam jednak poważne wątpliwości, czy niektóre problemy poruszone w niej przez autorkę powinny być, a tak się właśnie dzieje, ostentacyjnie przedstawiane przez wysokonakładowe, kolorowe magazyny młodzieżowe. Oto w 42 numerze tygodnika „Razem" wpadł mi w oczy tekst M. Wisłockiej, wabiący czytelnika sporej wielkości tytułem: „Zespół orgazmu łechtaczkowego" (19 odcinek publikowanej przez pismo „Sztuki kochania"). Jest to ni mniej, ni więcej lecz instrukcja damskiego onanizmu, który podobno, jak twierdzi autorka, dobrze przygotowuje kobiety do normalnego pożycia seksualnego. Ten tytuł eksponuje fizjologiczno - technologiczną stronę sprawy i właśnie dlatego, już na wstępie, likwiduje uczuciowy sens miłości.

Edward Kania
Puławy

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW - w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 36281

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1979/23

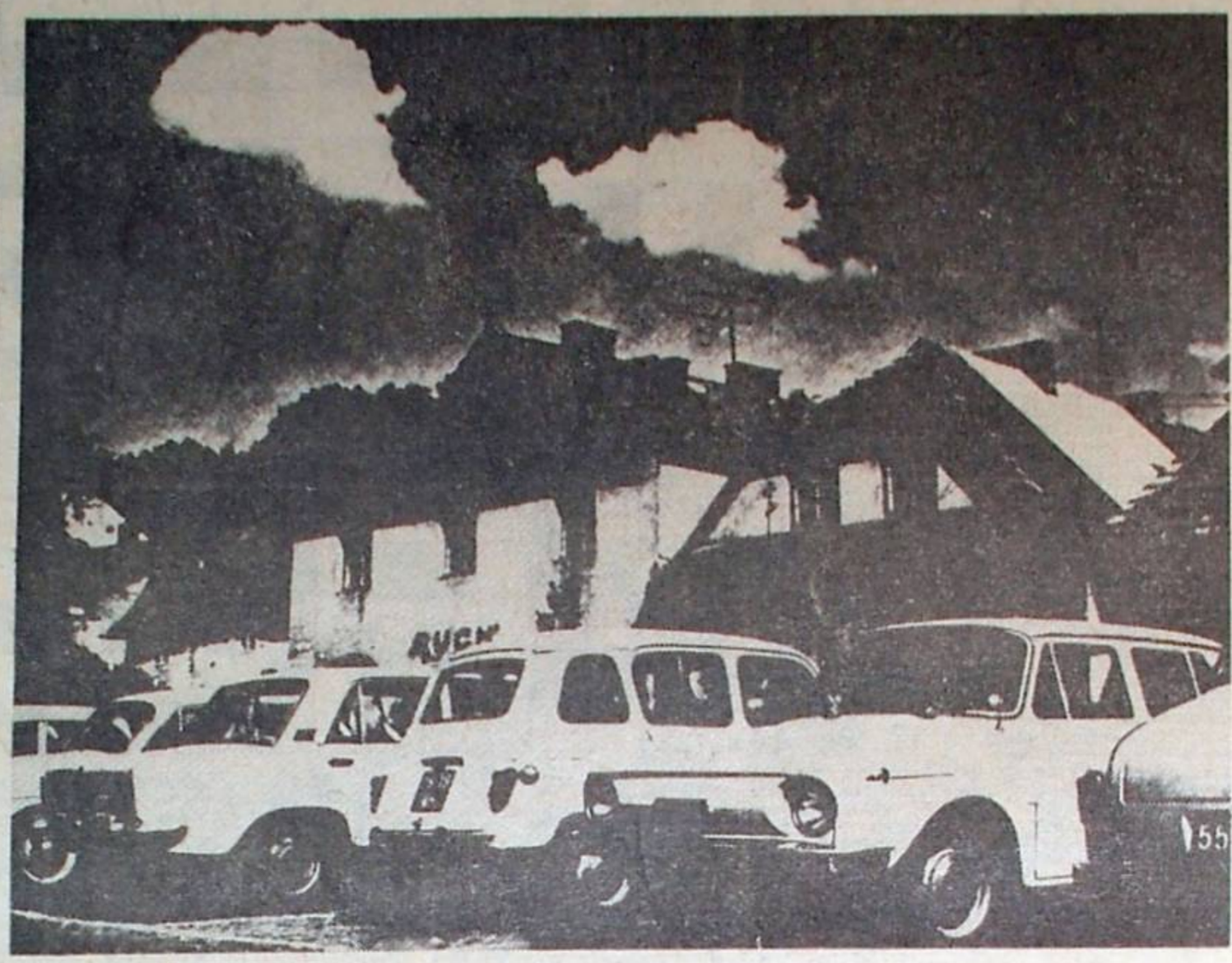

FOTOGRAMY
JACKA MIROSŁAWA